



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

W TĘSKNOCIE.

Nie to miłością zowie się i wiara.

By na świat patrzeć przez pryzmat swych chęci:

Ofiara nie jest już wtedy ofiarą,

Gdy na złudzenia cłtarzu się święci:

Kiedy idziemy za zwodniczą marą,

Blaskiem kłamliwych obietnic ujęci;

I to jest potem takich ludzi kara,

Że są przez słabych serc rozpacz — przekleci!

Ale kto, czując miłość nieszczęśliwą,

W dobra i prawdy świętą siłę wierzy:—

W pierś, jak pod twardą puklerza pokrywą,

Zawsze uczucia bierze zapas świeży,

I tej nadziei, co jest wiecznie żywą,

Promieniejący krąg cudownie szerzy.

M. I.

JAN MATEJKO.

(Dalszy ciąg).

I ci wszyscy, co nie chcą marnieć w idealizmie, idą posłuszni za hasłem wieku, które im obiecuje życie i siłę. Powstaje w ten sposób pokolenie artystów nazywanych „realistami”. Są to w mniemaniu swoim ludzie, którzy wiedzą dokąd idą; wolni od sentymentalizmu, tęsknot żadnych, ani bólów twórczych nie czują; nie rwą się ku mglistym wierzchołkom, jakie ongi zalany już dziś

przez nowe prądy idealizm nad padołami rzeczywistości dostrzegał. Wszystko u nich musi być jasne, trzeźwe, ściśle określone, skończone w sobie, a trzymające się ziemi. Niczego domysłowi, doczuciu, dośpięwanu nie zostawia. Impresjonista ma właściwie malować nie rzeczy, ale wrażenia swoje; ponieważ jednak wrażenia te muszą być silne i prawdziwe, aby się plastycznie wyrazić mogły, znajdzie się więc w nich zawsze i prawda natury.

Realista szczerzy trzyma się już tylko rzeczy samych, pomylić się zatem nie może, jeśli tylko istotny artyzm w przenoszeniu ich do sztuki posiada. Taine sprowadził istotę piękna do charakteru, powtarzając tylko to, co młodzieńczo-petyczny Hugo powiedział był w przedmowie do *Cromwella*; dzisiejszym już charakter nie wystarcza: chcieliby rzeczywistość ze skóry obdrzeć. Jaknajwiększa dokładność w odtworzeniu: to cel. Do utworów prawdziwego zdrowego piękna ludzie lecieć powinni, jak ptaki Zeuxisa do winogron. Symboliczność, alegoryczność, historia, jak w poezji tak w sztuce plastycznej, krzywdzą tylko pięknotwórstwo. Malarstwo religijne już się przeżyło — zaręcza nam ta nowa estetyka. Człowiek to tylko dobrze oddać może, co dobrze w siebie przyjął. Więcej warta jest dobrze namalowana podeszew, rzeczywistość oczyma pochwyciona, niż najpiękniej wyceckany anioł, którego żadne oko ludzkie nigdy widzieć nie mogło. Patrzeć tylko naokoło siebie: a będzie dość treści, dość uzacnienia dla sztuki!

Pytanie tylko: jaką jest ta treść i jaką znacność? Najkrótszy namysł wystarczy każdemu nieuprzedzonemu do przeświadczenia się, że sztuka tak pojmowana i wykonywana przez popędy swoje przeważnie zmysłową, choćby jaknajprzekładniejszą, a przez cel swój w stosunku do natury naśladowniczą być musi. Rzetelna twórczość ludzka, świadoma siebie i dzieła swoje z własnej swej głębi wyprowadzająca — staje się

tu niepotrzebną. Dostrzegłeś babę idącą na jarmark, jastrzębia szarpącego porwaną ptaszynek, pijaka wpadającego w rynsztok, przekupkę z pomarańczami: bierz paletę i siadaj do malowania, a pamiętaj, aby to, co ma na płótno wystąpić, było zupełnie takiemsamem, jak to, co się na soczewce oka twego odbiło, a przedtem jeszcze pilnuj oka, aby się w niem zawsze doskonała rzeczywistość odzwierciadlała. Przez taki proces twórczy dochodzi się do doskonałego artyzmu form, a mizernego artyzmu treści: najwyższą jego zdobyczą będzie pochwylenie charakteru. Sztuka taka z istoty swojej jest portretową; przyjmuje gotowe fakta i, jeśli ich nie przedrzeźni, może je tylko dokładnie wyrecytować. Artysta z siebie samego jaknajmniej daje, zpoza siebie jaknajwięcej bierze. Właściwie twórcą jest tu sama natura, działająca zapomocą oka, mózgu i ręki. Nie inaczej działa i fotografia. Sztuka, pokazując co umie, staje się tu niezrównanem rzemiosłem. Doskonała zewnętrzność podbija wszystkich; wielkie masy hołdują jej ślepo; misterna robota podziw wzbudza w znawcach; artysta dostępuje tryumfów niezrównanego mistrza — i rzeczywistość jest wirtuozem form sztuki. Starych Hollendrów daleko za sobą zostawił i z litością na Ostadych i Dowów spoglądać ma prawo. Dla czegożby nie miał przyjmować oklasków, które mu się słusznie należą?

A jednak czy jest to sztuka? Gdyby wyłącznie takie tylko pięknotwórstwo sztuką być miało, byłoby mordowaniem sztuki.

Niema wyrazu a za wyrazem pojęcia, którego by srożej w czasach naszych nadużywano, nad „realizm”. Przed dziesięciu laty, charakteryzując Rubensa, starałem się określić logiczne granice tego, co pod realizmem rozumieć-by wypadało. Nie chcąc się powtarzać, przypomnę tylko, że, zdaniem mojem, jest to pojęcie czysto artystyczne, do zakresu artyzmu wykonawczego należące i nie ma nic wspólnego z poziomem i rodza-

ZABIEGI PANA PIOTRA.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

jem natchnień i pomysłów twórczych. Realistyczna, według mnie, sztuka jest tylko przez to, w czym objawia dążność swoją do przedstawienia zewnętrzności zjawiska z wyrazistością jaknajwiększą. Jeden i ten sam przedmiot, jeśli pokazanie jego bezdusznych form nie jest jedynym celem sztuki,—może być przez dwóch malarzy, przez dwóch poetów przedstawiony z większą lub mniejszą dokładnością, wyrzeźbieniem, bezpośredniością przedmiotowej prawdy. Jeden artysta potrzebuje wrócić się niejako w zjawisko, drugiemu wystarczy otarcie się tylko o formy zjawiskowości. Jeden ukazuje nam zawsze przedmiot z bliska, przysuwa nam go do samego oka, niekiedy nawet jeszcze uzbiera wzrok w szkło powiększające; drugi daje nam go widzieć z większej odległości, z mniejszą analizą i dokładnością szczegółów: ale obaj mogą równie dobrze, albo równie błędnie przedstawić syntezę zjawiska, w obu zarówno może się duchowa strona utworu wyrazić mdło lub potężnie; tak jeden jak drugi może być przez natchnienie swoje bogatym lub ubogim, wzniosłym lub gminnym, głębokim lub płytkim, niesmacznym lub wdzięcznym. Od głębokości pędzla nie zależy głębokość myśli, czy to z rozumu czy z uczucia płynącej. Są to dwie różne sfery, a wzajemną ich niepodległość ten tylko uznaje, kto w swej teorii estetycznej oddziela poetyczność, tę *alma mater* natchnienia, od artyzmu, będącego już czynnikiem specjalnej wiedzy, umiejętności i uzdolnienia.

Bo czy się wiersze pisze, czy się obrazy maluje—poetą być potrzeba. Tylko szkło preparowane do fotografii bez poetyczności się obywa. Malarstwo zwane realistycznym ze względu na rodzaj przedmiotów, które przedstawia, jest właściwie tylko rodzajem, a w doborze znowu tych przedmiotów może być cynicznym, gminnym, zmysłowym, naiwnym, humorystycznym, brutalnym lub eleganckim, bezduszny lub ożywiony. Co dla poezji ma wagę, to i w malarstwie i we wszelkiej sztuce, plastycznej obowiązywać musi. Czystej sztuki realistycznej niema; może być tylko realistyczny artyzm gotowy do służenia zarówno idealizmowi, jak sensualizmowi, będącemu według mnie, logicznym równoważnikiem tego, co się banalnie „realizmem“ nazywa. Realistycznym przez metodę swego artyzmu jest Shakespeare, jest i Matejko; ale niema chyba jednego myślącego człowieka, któryby sztukę obu t. j., syntezę twórczości i wykonania, realistyczną w zwykłym zdawkowym znaczeniu nazwał się odważył. Przeciwnie, obaj są idealistami; i obu przedmioty sztuki idą z nich samych, utwory pierwsze w nich samych powstają z własnych myśli, z własnych idei, zanim się uzewnętrznią środkami technicznymi. Potrzeba tworzenia nie legnie się u nich w zmysłowych wrażeniach; zewnętrzna, widoma, materialna rzeczywistość nie włazi ani wdziera się gwałtownie do świątyni ich umysłów; mają własną swoją przędzę, a tylko wyszywać ją muszą na kanwie rzeczywistości. Wprawdzie i ta przędza powstała z drobnych włókienek wrażeń od świata rzeczywistego odbieranych; ale odbieralnik żywy, który je w siebie przyjmował, nie był pustą, czczą bierną przestrzenią; był istotą żywą, miał swoją własną siłę i zdolność taką, a nie inną przyjmowania ich w siebie i przetwarzania w sobie. Tysiące, a może i miliony tych wrażeń, złożyły się na istotę człowieka i poety-artyści; ale, jak we krwi nie znać tych pierwiastków pożywienia, z którego powstała, tak w istocie duchowej nie rozemnać już owych milnowych wrażeń, które i ją samą i życie jej wytworzyły. Dla artyzmu rzeczywistość ma znaczenie sokratyczne: dopomaga idealowi do uzewnętrznienia się w sposób najodpowiedniejszy zarazem potrzebie twórczej i prawom natury, formy którejj pomysł, z kądokolwiek wzięty, przychodzić się musi. Tak obowiązek trzymywania się rzeczywistości pojmowali wszyscy wielcy artyści, którzy sztuki swojej nie ograniczali do kopiowania. Tak Leonardo de Vinci szukał po zaułkach i targowiskach Medyolanu najlepszego Judasza. Tak Rafael wywnętrzał się przed Castiglionym z trosk i walk swej twórczości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

I tuląc się do matki, szepnęła jej coś do ucha. Pan Piotr zarumienił się silnie i oczy spuścił. — I to się pewno stanie później troszkę — odpowiedziała matka półgłosem, lecz wyraźnie i z takim akcentem, że pan Piotr usłyszał i domyślił się.

— Gdzież Klarcia i dla czego jej dotąd niema?—rzuciła znaczące pytanie dziewczyna.

— Jakto? nie wiesz, moje dziecko, że o tej porze zawsze jest na mszy u Panny Maryi?

— Zapomniałam. Dziś szczególnie jestem wesoła, nawet zdaje mi się szczęśliwa, aż zapominam o czasie i nabożeństwie Klarei.

Hrabina z panem Piotrem zamienili znaczące spojrzenie. Pan Piotr powstał.

— Radość czasem bywa przepowiednią milej niespodzianki—rzekł pan Piotr.

— Którą mi mama z panem Piotrem gotują, i dlatego to pan Piotr ma tak uroczystą minę.

— Nie uprzedzajmy wypadków—odpowiedział poważnie, pożegnał się i wyszedł. Hrabina odprzewodziła go do przedpokojów.

— A więc dziś?—spytała go pofrancuzku.

— Wieczorem—odpowiedział.

— O szóstej czekamy z obiadem.

Pan Piotr, ucieszony, podziękował.

— Jakżebym pragnął przynieść dobre wieści!—powiedział wzruszony.

— Wierzę—poświadczyła hrabina.

Rozpromieniony, wzruszony do głębi, zamyślowy i roztargniony, szedł pan Piotr ulicą, rozmawiał ze sobą półgłosem i ręce rozkładał.

Omało że się nie uklonił hrabinie Natalii i omało że nie potracił na linii A-B hrabiego Augusta. Omało—powtarzam—gdyż Bóg czuwał nad nim i uchronił go od nieszczęścia.

Wbiegł do bramy swego mieszkania, przeskaکیwał po dwa schody razem—zadzwoił.

Lokaj kończył dziennik.

— Wracasz—szepnął—tak prędko... poczekaj—że póki nie uprzątnę przynajmniej zastawy.

Pan Piotr, zirytowany czekaniem, pochwycił za rączkę od dzwonka i chciał drugi raz nią szarpnąć, lecz w porę się zatrzymał i znowu czekał. Nie śmiał się narażać dystyngowanemu lokajowi, z obawy, aby go nie nazwał źle wychowanym.

Upłynęło parę minut, zanim drzwi się otworzyły.

— Nie sądziłem, że Jaśnie Pan tak prędko wróci, nie byłem ubrany—przepraszam.

— Nie o to tu idzie, mój Antoni—odezwał się pan Piotr, wchodząc. — Mam interes do ciebie, ważny interes—powtórzył z naciskiem.

Przeszli do jadalnego pokoju.

— Słucham Jaśnie Pana.

— Znasz Kraków, ludzi i masz rozum.

Lokaj skinieniem głowy podziękował za komplement.

— Możesz mi zrobić wielką przysługę.

— Radbym usłużyć Jaśnie Panu.

— Słuchajże uważnie: Do Krakowa przyjechał hrabia Bruno Odrykoński.

— Słyszałem.

— Słyszałeś?—powtórzył pan Piotr nieco zdziwiony.

— Tak, Jaśnie Panie.

— Tem lepiej. Otóż zależy mi na tem, bardzo mi na tem zależy, dowiedzieć się, gdzie hrabia Bruno bywa, z kim się przyjaźni, kto do niego przychodzi.

Jaśnie Pan chce wiedzieć o stosunkach hrabiego w Krakowie.

— O to mi idzie najwięcej.

— Na to potrzebuję paru godzin czasu. Zaproszę kamerdynera hrabiego na butelkę wina...

Pan Piotr sięgnął do kieszeni, wyjął z portmonetki papierek pięcioguldenowy i podał go. Lokaj spojrzął na papierek i na pana Piotra. Pan Piotr zarumienił się ze wstydu, wyjął pośpiesznie drugi papierek i podał go. Lokaj się uśmiechnął, schował pieniądze i powiedział tonem oznaczającym pewność siebie i cechującym ważność misji, jaką miał spełnić:

— W niecałe cztery godziny przyniosę wyczerpujące wiadomości. Jaśnie Pan będzie zadowolony.

— Mam nadzieję, gdyż wierzę w twój spryt—odparł pan Piotr.

Hrabina wierzyła w spryt pana Piotra, pan Piotr w swego lokaja.

— Dorobkiewicz za to został przyjacielem domu, za co ja dostałem dziesięć guldenów. Wolę ja jednak swoją dziesiątkę—pewniejsza. Sidła na hrabiego Brunona... rozumiem, lecz cóż mnie to obchodzi!

Gdy lokaj idąc w stronę Saskiego Ogrodu monologował, pan jego, zapaliwszy cygaro, usadowił się wygodnie w fotelu i oddawał się rozkoszom marzeń.

— To ta mała—szepnął—lecz się w tej chwili zorientował i powiedział głośniej: hrabianka Iza. Nie lubił nawet myślać wyrażać się swobodnie o tych, dla których miał cześć i uwielbienie.

— To hrabianka Iza—powtórzył—szepnęła hrabinie matce—Uśmiechnął się. Jestem pewny, że się pytała: czym się już o Klarcie oświadczył.

— „Stanie się i to później“—powtórzył wyrazy hrabiny, przypomniał sobie jej serdeczne spojrzenie i łagodny uśmiech.

— A gdyby dwa śluby razem w jednym dniu i przy jednym ołtarzu!—zawołał, zerwał się z fotela i stanął, przysłuchując się brzmieniu własnych wyrazów.—Dwa śluby razem—uśmiechnął się smutno i rzewnie. — To niepodobna, chociaż mógłbym ten warunek postawić, jestem panem pozycyi, losy hrabianki Izzy są w moich rękach.

Stawiać warunki byłoby nędznie, lecz mógłbym szepnąć Klarei po zaręczynach, mógłbym poprosić hrabiego Brunona, gdy się oświadczy. Nie powinien i nie odmówi. Dwa śluby razem!—zawołał głośno i nie przeląkł się swego zuchwałstwa.—A jednak tak być powinno i tak być musi—dokończył w myśli.

Rozpromieniony, wyszedł, kierując się ku hotelowi Victoria. Zdawało mu się, że przechodzący ludzie wiedzą o jego ważnej misji i dlatego okazują mu więcej szacunku, ustępują z drogi. Takiegosamego złudzenia doznał w restauracyi. Był pewny, że służba oddawała mu większą aniżeli wczoraj, cześć, a zebrani biesiadnicy wpatrywali się w niego ciekawie. Czytał na ich twarzach rozbudzone w wysokim stopniu zainteresowanie się nim.

Przy jednym tylko stoliku dwóch mężczyzn skromnie, lecz wytwornie ubranych, co dostrzegł p. Piotr od pierwszego rzutu oka, nie zwracało na niego uwagi, zajęci wyłącznie sobą, rozmawiali napół głośno i wybornie się bawili.

Zaintrygowały go te postacie obce i nieznanne w Krakowie. Przywołany służący, stary Ludwik, nie umiał dać żadnego wyjaśnienia.

Pan Piotr, upijając powoli z kieliszka burgunda, wpatrywał się z ciekawością w młodych ludzi, łowiąc głośniej wymówione wyrazy.

Mówili o sztuce. Starszy, o złotej brodzie, niebieskich oczach i jasnych włosach, wynioślejszy i barczystszy wyrażał się stanowczo, z akcentem człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania. Drugi, niższy i szczuplejszy, ciemnej matowej cery, patrzył na świat i towarzysza ciemnymi oczyma, z których wyglądał smutek i zaduma, chociaż świeże, różowe usta, wyglądające zpoza ciemnych wąsów, uśmiechały się.

Pan Piotr tego ostatniego wziął za wielkiego pana, a jego towarzysza za nieznaną, zagraniczną figurę.

— Może to jaki emigrant i dlatego z góry patrzy na nas...

Nie miał pociągu do emigrantów, jak wogóle do ludzi wykołojonych.

Przypuszczenia pana Piotra przerwało ukazanie się nowej postaci. Był to hrabia galicyjski który dzwigał ten tytuł, jak kajdany, lub wyrzut

sumienia swego ojca, który stracił majątek na zdobycie tytułu. Nie posiadając ani znanego nazwiska, ani majątku, musiał być hrabią, starać się żyć, jak hrabia, i jako hrabia, nic nie robić, ciesząc się skromną synekurą.

Galicyski hrabia rzucił okiem dokoła, podszedł szybko do stolika, przy którym siedzieli dwaj nieznajomi, nisko się skłonił przed blond brodą, a serdecznie i kordyalnie uściśnął rękę należącą do czarnych wąsów. Nie zaproszony oddalił się, zobaczył pana Piotra i siadł przy jego stoliku, reflektując (mówiąc pogalicysku) na tylko co zaczęta butelkę burgunda.

Po ceremoniach przywitania, pan Piotr nalewając wino do kieliszka hrabiego, pochylił się ku niemu, szepejąc:

— Kto są ci panowie, z którymiś się hrabia witał?

— Jakto nie wiesz? — zawołał hrabia z odcieniem oburzenia.

— Przepraszam, lecz nie wiem — szepnął pan Piotr zawstydzony.

— Hrabia Odrzykoński ze swoim malarzem.

Pan Piotr zarumienił się ze wzruszenia.

— Malarz to ten o złotej brodzie? — szepnął.

Hrabia galicyjski wzruszył ramionami.

— Piotrze, Piotrze, wstydź się! Po tobie spodziewałem się lepszej znajomości ludzi.

Pan Piotr zamyślony wpatrywał się w złotą brodę, wysokie czelo i silnie rozwinięte ramiona. Nie mógł sobie darować, że w tej postawie dumnej i rozkazującym tonie głosu nie poznał od razu potomka Hetmanów.

— Nie przypatrzyłem się, mam krótki wzrok — tłumaczył się półgłosem nalewając hrabiemu wino. — Tak, tak, z każdego ruchu, z założonej nogi na nogę widać, że to wielki pan.

Hrabia galicyjski potakiwał skinieniem głowy.

— Gdzie on bywa?

— Nigdzie.

— Jakto? z nikim się nie wdaje? Towarzystwo krakowskie jest dla niego za małe?

— Wdaje się ze wszystkimi, lecz z nikim się nie przyjaźni, tylko z jednym z malarzem. Po całych dniach przesiaduje u niego w pracowni, lub obydwa włóczą się po kościołach.

— Nabożni — szepnął pan Piotr roztargniony.

Galicyski hrabia wzruszył ramionami.

— Hrabia jest pierwszy raz w Krakowie i jako amator sztuki i archeologii...

Pan Piotr się zamyślił.

— Malarz ten musi być portrecistą — zapytał.

Hrabia galicyjski uśmiechnął się.

— Przyjaźń Odrzykońskiego będzie tu w Krakowie dla malarza wielką reklamą. I ty każesz się unieśmiertelnić.

— Ciotka mieszkająca we Lwowie prosiła mnie.

— Bogata i bezdzietna?

Pan Piotr skinął głową.

— Chcesz jej ciągle przypominać portretem o testamentie.

Pan Piotr odpowiedział sentymentalnym uśmiechem.

— Kochany hrabio — szepnął po chwili — zrobisz mi wielką grzeczność, jeśli mnie poznasz z malarzem.

— Domyślam się: radbyś się wkraść w łaski hrabiego, bo co do portretu wątpię: twarze nasze nie są tak charakterystyczne, aby mogły zachęcić tak wielkiego artystę.

— A więc on naprawdę wielki?

— W Europie, a w Krakowie wielkość jego stanowić będzie przyjaźń Odrzykońskiego.

— Mój drogi sam jesteś hrabią — zaczął pan Piotr tonem wymówki.

— I dlatego znam swoich — rzekł wyniośle.

Odrzykoński i malarz powstali. Pierwszy imponował postawą wyniosłą, malarz proporcją ciała, zgrabnością i artystycznym wdziękiem swych ruchów. Hrabia szedł naprzód, malarz za nim. Galicyjski hrabia zatrzymał malarza.

— Pozwól pan sobie przedstawić mego przyjaciela, wielkiego znawcę i amatora sztuki.

— Skromnego — pochwycił Dworkiewicz kłaniając się i serdecznie ściskając rękę malarza. — Kiedy pozwalasz szanowny pan zwiedzić swoją pracownię?

— Zawsze od dwunastej do pierwszej.

Rozstali się i uszczęśliwiony pan Piotr w wybornym humorze kazał podać nową butelkę burgunda.

Rumiany i rozmarzony wrócił do siebie, ułożył się, jak mógł najwygodniej, na kozetce i powtarzając w myśli z coraz większą odwagą: dwa śluby razem, zdrzemnął się.

O godzinie piątej zbudził go szmer w przyległym pokoju; na progu ukazał się służący. Był rumiany, oczy mrużył i lekko kołysał się na nogach.

— Hrabia Odrzykoński nie ma lokaja, lecz ma go przyjaciel hrabiego — malarz.

Pan Piotr nie mógł wyjść z podziwu.

— I cóż ci mówił lokaj malarza?

— Dużo ciekawych rzeczy opowiadał przy kieliszku, z czego wnosić można, że malarz jest hrabią i wielkim panem, a hrabia jego przyjaciel malarzem. Dziwnie, się jaśnie panie, teraz na tym świecie składa — hrabiowie mają się tak do...

Pan Piotr przeląkł się, aby nie usłyszeć nieprzyjemnego porównania i przerwał:

— Cóż hrabia i malarz?

— A nic, tylko przyjdzie do tego niedługo, że hrabiowie malarzom będą buty czyścić.

— Gdzie jest pracownia malarza? — odezwał się pan Piotr tonem ostrym.

— Na Batorego w nowym, wielkim domu. Sam hrabia, ten wielki milionowy pan, rozpinał na ścianach pracowni gobeliny i makaty.

Pan Piotr spojrział na zegarek.

— Ach, zmiłuj się, o szóstej muszę być na obiedzie u hrabiny; nie mamy więcej czasu nad dwadzieścia minut.

Lokaj otrzeźwiał, wyprostował się jak żołnierz i z poważnie marsową miną zabrał się do zmiany toalety pana Piotra.

Na wieży ratuszowej nie skończyła jeszcze wydzwaniać godzina szóstą, gdy pan Piotr, we fraku i białym krawacie, wysiadał z karetki przed ciemną, staroświecką kamienicą.

— Czekamy — rzekła hrabina w salonie z odcieniem serdecznej wymówki.

— Missya, którą miałem do spełnienia jest tak ważna i zawiślana...

— Dyplomatyczna — przerwał panu Piotrowi dzentlemen we fraku i złotych okularach stojący przy oknie.

Pan Piotr w tej dopiero chwili zobaczył go.

— Nie zajmuję się — odpowiedział, kiwnąwszy głową na przywitanie — ani dyplomacją, ani medycyną.

— Trudne to rzeczy — odpowiedział irocznie dzentlemen w okularach.

— Tak, lecz piękne i szlachetne czyny przynoszące zaszczyt ludzkości, nie koniecznie muszą mieć swe źródło w uczoności — przyszła w pomoc panu Piotrowi hrabina.

Dzentlemen w okularach skłonił się. Zrozumiał, że pan Piotr w obecnej chwili jest tu górą, i szlachetnie zamilkł.

Pan Piotr rad był się zwierzać, obecność dzentlemen we fraku zamykała mu usta. Z rozpromienionej jego twarzy i tryumfującego uśmiechu odgadła hrabina powodzenie missyi.

— Zmęczyleś się, kochany panie?

— Ach, pani hrabino, cóż znaczy zmęczenie wobec przeświadczenia, że się zrobiło rzecz dobrą i że się usłużyło komuś, kogo się czci? — odpowiedział pan Piotr serdecznie.

Dzentlemen we fraku i okularach domyślił się, że pan Piotr został agentem hrabiny w ważnej sprawie, i w tej chwili postanowił być bardzo grzecznym dla pana Piotra, trzymać się w odwodzie, a tymczasem zbadać sytuację.

Do salonu weszły hrabianka Iza i panna Klara, daleka kuzynka nieboszczyka męża hrabiny, również hrabianka, lecz o bardzo skromnym nazwisku i malutkim posagu.

Dzentlemen we fraku i okularach posuwił się wystąpił na przywitanie dam, wyprzedzając pana Piotra.

Hrabianka Iza uprzedziła go.

— Doktorze — mówiła wesoło — wprowadźcie to nieładnie, lecz na przywitanie skarżyć się muszę, na zbytek zdrowia i apetytu. Śpię dziesięć go-

dzin dziennie, jem, jak pionier amerykański, a piłabym, jak marynarz, gdyby nie mama.

— Serdecznie się cieszę i dumny jestem, gdyby i hrabianka Klara....

— Klarcia musi być zakochaną — uprzedziła Iza — objawia bowiem wszystkie symptomata tej choroby.

Klara lekko się zarumieniła i z odcieniem lekceważenia wzruszyła ramionami.

— Mam ważniejsze sprawy na głowie — odpowiedziała.

— Czyż są ważniejsze na świecie a tem więcej dla kobiety? — przerwała wesoło hrabianka. — Doktorze, powiedz.

— Świat ten powstał tchnieniem mądrości, trwa miłością — rzekł z patosem doktor, przezywając wzrokiem przez pośrednictwo złotych okularów hrabiankę Klarę.

Klarcia nie mogła znieść tego spojrzenia i spuściła oczy, Iza nie mogła zapanować nad sobą — i uśmiechnęła się.

Hrabina odprowadziła pana Piotra w róg salonu.

— Dotarłeś kochany pan do gruntu rzeczy i posiadasz jakie dane?

— Dotarłem i posiadam wszystkie dane; lecz, niestety, pani hrabino dane te, są bardzo skromne. Chociaż może to i lepiej. Widziałem hrabiego na własne oczy. Wielki to pan, wyniosły i piękny mężczyzna. Zdaje się, jest jeden środek, lecz niezawodny.

— Czy tylko zręczny? — spytała hrabina. — Śmieszności się boję.

— Zręczny i szlachetny.

Służący oznajmił, że waza na stole.

Hrabina podała rękę panu Piotrowi. Pan Piotr, uroczyście i szczęśliwy, szedł naprzód, uważając, aby sukni nie przydeptał, lub się nie potknął. Nie był dumny, lecz rozrzewniony. Klara szybko z wrotem podała rękę Izie i prowadziła ją w drugą parę, doktor szedł za nimi. Pan Piotr siedział po prawej stronie hrabiny, doktor po lewej, Klara przy panu Piotrze, Iza obok doktora, guwernantka francuzka przyproceedziła dwie młodsze hrabianki i posadziła je obok siebie.

Po zupie zjedzonej z namaszczeniem, doktor zaczął bawić damy nowinami ze świata mieszczańskiego, zaprawionymi własnego wyrobu humorem, hrabianki Iza i Klara bawiły się. Iza doktorem, Klara jego humorem; hrabina i pan Piotr byli zamyśleni i uroczyści. Pan Piotr oczy mrużył uśmiechając się pogardliwie na koncepta eskulapa; hrabina, chcąc okazać sympatią panu Piotrowi, podzielała jego niechęć dla konceptów doktora, chociaż wybornie się niemi bawiła. Świat mieszczański był dla niej niewyczerpaną kopalnią śmieszności i komizmu. Doktor drwił ze swoich rubasznie i złośliwie. Dla złośliwości hrabina przebaczała mu rubaszność.

— Dlaczego dziś pan Piotr jest tak milczący? — rzuciła pytanie Iza, znużona już konceptami doktora.

— Zamyka usta z obawy, aby tajemnica ukryta w głębi serca nie wyleciała na świat i nie narobiła hałasu — uprzedził pana Piotra doktor.

Pan Piotr zmieszał się nieco, hrabina uśmiechnęła. Pan Piotr istotnie wyglądał na tego, który poślknął tajemnicę.

— Wobec gwałtownych potoków tak porywającej wymowy — odezwał się po namyśle — zwykle wyradza się w słuchaczach usposobienie do milczenia. — I, chcąc zwrócić rozmowę na inne tory, zapytał:

— Powiedz mi pan, panie doktorze, czyś widział kiedy obrazy malarza Szeligi, i co o nich sądzisz?

— Szeliga, przyjaciel hrabiego Odrzykońskiego? — spojrzął bystro w oczy panu Piotrowi i uśmiechnął się złośliwie.

Hrabina zrozumiała spojrzenie i uśmiech i gniewna pomyślała:

— Usta otworzył i tajemnica wyleciała.

— Czy ja widziałem jego obrazy? — powtórzył. — Któż ich nie widział, jeżeli tylko wychylił nos za rogatkę Krakowa? Wzbudzają one podziw całego Wiednia, piękne Wiedeńki płacą złotem za swe portrety jego pendzla. Gwiazda to i sława nasza. Pan nie widziałeś?

— Widziałem — odpowiedział pan Piotr wesoło, rad, że mu Doktor tak wybornie pomógł do przeprowadzenia ułożonego planu.

— Widziałeś pan i zadajesz mi pytanie. Czy dlatego, że Szeliga przyjechał tu ze swym przyjaciелем hrabią i...

— Przepraszam—przerwał poważnie pan Piotr. Raczej hrabia Odrzykoński ze swym malarzem.

— Przepraszam — odrzekł doktor—główną figurą jest tu Szeliga, i on-to ściągnął hrabię do Krakowa.

— Dziwię się, że zwyczajny malarz—odezwała się hrabina, może tak silny wpływ wywierają na...

— Protestuję, pani hrabino. Jest to niepospolity artysta, piękny mężczyzna, rozumny człowiek, a hrabia, dla którego Bogiem jest sztuka...

— Ach! co za bezbożność i co za bałwochwalstwo!—z westchnieniem odezwała się Klarcia.

— Gdyby to można zwiedzić jego pracownię!—objawiła skromne życzenie Iza.

Pan Piotr uśmiechem i tajemniczym mrugnięciem oczu dał jej poznać, że przez jego wpływy stanie się to możliwym.

Hrabina, bojąc się, aby pan Piotr w rozmowie nie zagalopował się, wstała, podała mu rękę i przeszła z nim na obszerną werendę wiszącą nad niewielkim ogrodem w dziedzińcu. Stare lipy ocieniały ją, łącząc się z liśćmi winogrodu, pnąciami się po ballustradzie i żelaznych słupach podtrzymujących blaszany dach.

(Daszy ciąg nastąpi).

Przegląd literatury zagranicznej.

TRZY MIŁOŚCI SZOPENA

(Les trois romans de Fréd. Chopin par Comte Wodziński)

(Dalszy ciąg).

Po południu dnia, który miał być dla Szopena ostatnim dniem jego pobytu we Francji, spotkał na bulwarach, może żegnanych już nazawsze, jednego ze znanych mu w kraju książąt Radziwiłłów, Walentego. Zapewne przyszło do wyznania, co pcha biednego tułacza za morze, i niewątpliwie książę pośpieszył z pomocą „à titre de prêt“—dodaje Wodziński, ale nie było to jeszcze wszystko, co dla Szopena uczynił. Wieczorem zawiózł go na zebranie do Rothschilda, gdzie spotkali liczne towarzystwo, jeżeli nie wielkich, to możliwych tego świata. Szopen grał i gra jego zachwyciła, wzbudziła gorące, entuzjastyczne uwielbienie. On to odczuł i wstąpiło mu w pierś natchnienie, a z niem wiara w siebie. Wracając do domu, podniósł wzrok ku górze, bo dusza ta poetyczna, była religijna, błękit niebios był bez chmurki, gwiazdy świeciły i on to wziął za wróżbę losu swego, która się sprawdziła. Zaraz nazajutrz otrzymał mnóstwo listów, to zapraszających go do domów najpierwszej arystokracji francuskiej—do domów starej szlachty z Faubourg Saint Germain—to proszących go o dawanie lekcji.

Co więcej, jeden z areopagu muzyków, zgromadzonych w Paryżu, Kalkbrenner, proponował mu trzyletnie pobieranie lekcji, zanim-by wystąpił publicznie. Ani jeden miesiąc nie powinien być zostać ujętym pod groźbę nieopanowania sztuki swojej i były chwile, w których Szopen, tracąc wiarę w siebie, skłaniał się do tej rady, ale na szczęście głos wewnętrzny, który był głosem jego gieniuszu, buntował się w nim prędko i wołał aby „stworzył sobie własny swój świat“— świat melodyi, która grała mu w piersiach.

A w Paryżu konstellacja muzyki składała się wtedy z gwiazd pierwszorzędnej wielkości. Był to dla Francji, po rewolucji lipcowej nastąpił jakoby wiek *Odrodzenia*. Jak w poezji stał obok

opromienionego pierwszym blaskiem swej chwały młodego Wiktora Hugo, Lamartine, Béranger, mając w głębi Alfreda de Vigny, Kazimierza Delavigne; jak w malarstwie był Ingres, Delacroix, Delaroche, Flandrin, tak zastęp mistrzów muzyki tworzyli: Cherubini, Auber, Herold, Rossini, Halevy, Meyerbeer: przecież Szopen przynosił ze sobą „swoją własną świat“ swoje motywy ojczyste, swój polski żal, tęsknotę—swoją ton sławiański i przyjęto go obojętnie, chłodno. Rossini, który chwycił po ulicach katarynkarzy włoskich i kazał im sobie grywać, dla Szopena nie zdobył się na bratnie podanie ręki. Gdy Szopen dawał swój pierwszy, wyżej wspomniany, koncert, i zwrócił się do niego, jako do dyrektora Opery Włoskiej, prosząc go o zapewnienie mu współudziału jednej ze śpiewaczek opery, odesłał go z tem do kogoś ze swych podwładnych, a ten odmówił poprostu. Ale gwiazdy świeciły teraz na niebie polskiego mistrza i nie potrzebował już nikogo do pomocy: miał młodość, piękność, rzadki wdzięk podbijania sobie ludzi—miał, przede wszystkim gieniusz, i to dało mu razem sławę, bogactwo, zbliżyło do dusz poetyczniejszych, do umysłów wyższych, wśród których mieściło się liczne grono rodaków, do serc ciepłych ogniem żywego współczucia dla tego, co mu drogiem było. Razem było to szczęście, możliwe w jego położeniu i przy jego delikatnej, uczuciowej organizacji.

Pięć lat, które upłynęły między 1831 a 1836 r. zaliczyć trzeba do najszcześniejszych, najpomyślniejszych lat życia Szopena. Od świata wziął wszystko, co tylko dać on może, aż na koniec wywołał sobie z serca najwyższe uszczęśliwienie człowieka na ziemi: miłość dla istoty pięknej i dobrej, która dała mu przecież że i jej pierś drgnęła uczuciem wzajemnym. To była, sprzecznie z tytułem, kto wie czy nie dla przynętą francuskiego czytelnika danym przez Wodzińskiego książce—pierwsza i jedyna—jedynie prawdziwa miłość Szopena, wzbudzona przez Maryę Wodzińską, znaną mu dzieckiem w ojczyźnie a ujrzaną w Dreźnie 1835 r. już jako piękną i dorosłą, bo osmastoletnią panną. Pokochał, a Wodziński pisze, że „zdawało mu się w dobrej wierze, jakoby kochał ją zawsze.“

To przecież jest prawdą, że w Paryżu wśród kwiatu najpiękniejszych, najinteligentniejszych, najwdzięczniejszych kobiet, nikt i nigdy nie podejrzewał mu w piersi uczuć miłości, ani on nie zdradzał ich niczem. A było między uczennicami jego wiele pięknych i szlachetnych kobiet rodzaczek: Delfina Potocka, księżna de Beauvais (Potocka też z domu), księżniczka Izabella Czartoryska, księżniczka Marcelina Radziwiłłówna: były podobne im cudzoziemki, a między niemi tkliwa, poetyczna Irlandka, miss O'Meara. On niewątpliwie uwielbiał ich wdzięk, odczuwał urok—ale nie kochał.

A mógł i on budzić, a może nawet budził miłość—miłość, która, niepodzielona, musiała pozostać nazawsze skrytą i milczącą. Przypisywano ją najpiękniejszej, najszlachetniejszej pomiędzy wymienionymi wyżej. Była mu ona potem aniołem ostatniej muzyki na ziemi, aniołem kołyszącym cierpienia jego zgonu na który dał śmierci skrzydła pieśni, by uniosła na nich w zaświaty biedną, zmęczoną duszę.

Liszt, kreśląc jego portret, porównał go tego „błękitnego dzwonka (convolvulus) który kołysze swój kielich czarownie ubarwiony na łąkach niepojęcie delikatnej.“ Gdy grał, najczęściej w pół świetle, bo tak tylko lubił, twarz jego zawsze biała i bez żadnego rumieńca, bladła na białosze marmuru i Heine, nazywał go też dla wdzięku jego gry i osoby Rafaelem muzyki, a określając to szczegółowiej dodawał:—„Enfant cheri des muses, Polonais de naissance, Allemand par poésie, Italien par l'art, Français par la clarté et l'élégance...“

Wszystko było w nim do kochania, wszystko zwywał się zdawało miłości kobiety: a przecież jakaś klątwa przeznaczenia sprawiła, że ani ta która była jedynie prawdziwą, ani dwie inne jego miłości, z których jedną nazwałabym marzeniem tej tęsknoty młodzieńczej, jaką słowik uczuwał o rozkwicie wiosny i kocha, aby mógł śpiewać, drugą, nieszczęśliwym urokiem, rzuc-

nym nań przez złą czarownicę—żadna przecież, żadna z nich nie przyniosła mu szczęścia, nie otrzymała wzajemności głębszej i prawdziwej—odplaty takiego uczucia, jakie on dawał!

Każdy kwiat, trawka, źdźbło roślinki na ziemi ma dany sobie swój promyk słońca, swoją kroplę rosy, swoje rzeźwiące tchnienie wiatru, a są istoty ludzkie, którym w ekonomii życia nie dostało się nic tego, co jest życia ciepłem, napojeniem, powiewem ożywym. Podobnym był i los Słowackiego. Ten poeta, który „przeszedłszy świat, kochał tylko jedną“ nie był od tej jednej kochany i odszedł do grobu z sercem tak pustem, tak niemieszczącym nic szczęścia, jak Szopen.

A trafem szczególnym była to ta sama kobieta, Marya Wodzińska, którą kochał Szopen. Słowacki cisnął przed siebie w marzeniu obraz, co by czuł, czegoby doznawał, gdyby był kochanym, choćby potem kochanie swe utracił, i utworzył czarowny poemat o miłości, najpiękniejszy wyraz tego uczucia, jaki posiadamy w literaturze naszej: „W Szwajcaryi.“ Tytuł ten i „miejsce na smutek łaskawe“ obrane zostało z tego powodu, że z Maryą i jej rodziną odbywał razem wycieczkę w pewne więcej malownicze okolice tej krainy, pełnej szczytnych piękności. Wodziński potrafi w książce swojej o tę miłość poety dla krewnej jego i pisze jak smutna, wyraz głębokiej melancholii nosząca zawsze twarz Słowackiego: „maska tragiczna“ rozjaśniała się i stawała piękną, gdy oko jego mogło spoczywać na wdzięcznej swej rodzaczce, mieszkającej w czasie ich znajomości w Genewie, nad czarownym, z piękności otaczających je widoków sławnym Jeziorem Genewskim. Jedyne wyznanie jego miłości dla pięknej dziewczyny namiętne było, lecz nieme. Ciemne swe długie włosy spuszczała śnać swobodnie w warkoczach splecione i Słowacki, wszedłszy raz do pokoju, gdzie byli i inni jeszcze prócz niej, warkocz te pochwycił i ucałował, tak przecież, że nikt tego nie widział. Ona, dziewczę młode, nie rozumiejące jeszcze czym jest siła miłości w sercu ludzkim, w takim szczególnie sercu jak Słowackiego, śmiała się z „sentymentalności pasterskiej“ u człowieka tak posępnie smutnego. To przecież rozżarzało tylko miłość biednego poety.

Jak przecież natura jego musiała być w głębi swej słodką i tkliwą, jeżeli, kochając w warunkach takich, nie zatrul sobie wspomnień tej miłości goryczą cierpką, lecz przeniosłszy jej obraz w krainę ideału, stworzył z niej czarownicę wdzięczną i tylko niewypowiedzianą smutną historią miłości, która musi być rozdziałem i nie mieć nadziei! Jeżeli on miał „serce niepowszednie“ niepowszednią istotą musiała być i ta, którą dwóch takich ludzi, jak on i Szopen kochało na jedyną, wyroczną miłość życia swego. A kochał ją, a przynajmniej ulegał sile jej uroków, i trzeci jeszcze, w każdym razie, niepowszedni też człowiek, książę Ludwik-Bonaparte, później Napoleon III. Wtenczas był to młodzieniec także, „z jasnym wąsem i melancholicznym wyrazem niebieskich oczu.“ Bywał on często w domu matki pięknej Maryi i godziny całe spędzał tam, słuchając jej gry na fortepianie, bo i ona posiadała wysoki talent muzyczny, który tak się zaznaczył w Genewie, w koncertach na cele dobroczynne, że municypalność miasta złożyła jej podziękowanie za podniesienie tych koncertów i przyciąganie przez grę swoją liczniejszego koła słuchaczy.

Grywano też wieczorami w willi nad jeziorem. Otwarte okno ukazywało czarowny krajobraz, a w oknie tem słuchając i paląc cygaretkę za cygaretką, stawał młody Bonaparte, wtedy otaczany wielką sympatią Polaków, których przyjaźni szukał, z którymi zarezczał się na bratnią miłość wierną. Widziałam jedną taką obrączkę, jakoby ślubną, u niedawno zmarłego Fr. G., który też lat kilkanaście tułał się po obczyźnie. Były na niej wyryte wewnątrz wyrazy: „Dieu, Patrie, France, Pologne.“

Ludwik Napoleon dla bogatych, ciemnych włosów Maryi przezwiał ją „Brune fille d'Euterpe“, a Wodziński dodaje, że zajmując już tron Francji, nie zapomniał nigdy węzłów przyjaźni, łą-

czących go z rodziną polską. Gdy później nie-
szczęście uderzyło w tę rodzinę długo szczęśli-
wą i silnie węzłami miłości w członkach swoich
związaną przypomniał sobie stosunki dawne i,
jak dodaje Wodziński, zadał klam słowom poety:
Donec felix eris."

Wodziński przytacza tu szczegół ten zajmujący,
że w wycieczce nad Jezioro Czterech Kantonów do
groty i kaplicy Tella, w tej wycieczce, którą unie-
śmiertelniał Słowacki, brał udział i Ludwik Na-
poleon. Marya Wodzińska miała wtedy lat sze-
снаście.

Szopen kochał już przeszło dwudziestoletnią, a
zbliżenie się ich do siebie, zobaczenie się w Drez-
nie, nie było jedynie dziełem przypadku: spo-
wodował je najstarszy brat Maryi, emigrant, któ-
ry po wyjeździe matki i siostry ze Szwajcaryi
wrócił do Paryża, gdzie widywał się z Szopenem,
bo byli oni sobie od lat chłopców przyjaciółmi
i kolegami szkolnymi. Wszyscy trzej bracia Wo-
dzińscy byli niegdyś na pensyi u rodziców Szo-
pena, a on sam, Fryderyk, zaprzyjaźniony z nie-
mi, przebywał nieraz wakacje w Służewie, ma-
jątku Wodzińskich, i wtedy przyjaciół braci
stał się też przyjacielem, towarzyszem zabaw
siostry. Było między nimi różnica lat pięć.
Szopen dziesięcioletni poznał raz pierwszy ślicz-
ne pięcioletnie dziewczętko, które matka, przyby-
wająca do Warszawy, aby odwiedzić synów, przy-
wiozła ze sobą. Więc była między nimi przy-
jaźń dawna, było zatem i zajęcie się życzliwe
jednych, losem drugich, i brat pisał siostrze za
powrotem do Paryża o Szopenie, że jest on już
dziś osobistością sławną i znaną w całym świecie
muzykalnym, że przyznają mu ten geniusz, który
przepowiadany mu był już w kraju za czasów,
gdy Fryc, bo tak go zwano w rodzinie i wśród
przyjaciół, był tak miłym młodej dziewczęce, że
kryła łzy, gdy odjeżdżał.

Teraz mogli się zobaczyć ze sobą. Nie myśląc
o możliwych następstwach tego spotkania, młody
Wodziński pisał siostrze, że Fryderyk jest w Niem-
czech, że dla widzenia się z ojcem w Karlsbadzie,
a następnie dla zobaczenia dawnych znajomych
i przyjaciół w sztuce, Mendelssohna, Schumann'a
i żony jego Klary Wieck, będzie w różnych tych
miejscach, które leżały na drodze polskich po-
dróżnych, lub bliżko niej, i że spotkanie się po
kilku latach niewidzenia, przyniosłoby zapewne
żywą przyjemność obu stronom.

Ten pośrednik, niemyślący, że staje się przy-
najmniej dla Szopena, ręką przeznaczenia, jemu
też udzielił z kolei szczegółów o miejscach prze-
bywanych przez matkę i siostrę, i spotkano się
w Dreźnie.

Przecież już poprzednio myśl o ujrzeniu daw-
nej znajomej rozbudziła w sercu Szopena dawne
wspomnienia i przedstawiła mu obraz tej czterna-
stoletniej dziewczynki, którą miał teraz zoba-
czyć już kobietą dorosłą. Obraz był tak wdzię-
czny, że serce uczuło się wzruszonym miłośnie.
Silna u niego zawsze tęsknota za krajem doło-
żyła też coś malowidła swego, bo tło ojczy-
stey ziemi i rodzinnych obyczajów na którym przed-
stawiało się ta postać dziewczęcia, zdwajała czar-
powabu, pociągającego uczuciową tę organizację.
„Rien, que par la force des souvenirs, il se trou-
vait maintenant qu'il aimait Marie"... pisał
Wodziński. Już to stosunki odnowiły się piśmien-
nie jeszcze za pobytu rodziny Wodzińskich w Ge-
newie: była wymiana myśli listowna i w tych
czasach Szopen napisał walca, którego ofiarował
„pannie Maryi“, jak pisał w liście. Napisał go
na motyw jakiejś muzycznej kompozycji Maryi,
która mu ją przysłała z Genewy, było więc rzeczą
naturalną, aby po takim odnowieniu przyjaźni
Szopen pośpieszył do Dreznia dla zobaczenia tam
dawnych znajomych. Ale jego serce drżało już
miłośnie, a zarazem panowała w nim myśl, którą
w Karlsbadzie powierzył ojcu: chciał węzłów nie-
rozrywanych, chciał miłości zaprzysiężonej „a iż
cię nie opuszczę, aż do śmierci.“ Biedny marzy-
ciel, biedny marzyciel, skazany na zawody i tę-
sknoty wieczne—na wieczny żal...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań, w Grudniu 1886 r.

Podczas, gdy obywatele przedniejsi lub starsi
radzą o potrzebach obecnej chwili, przejawia się
i wśród dam naszych bodaj jeszcze skuteczniejszy
ruch łączący ofiarność z oszczędnością. Wyborne
wasze rady na czasie i poważne artykuły o kwe-
stjach bieżących, niejedno dobre i na naszą ni-
wę rzuciły ziarno. Snują się zewsząd szlachetne
pomysły. Jedni proponują ustąpieniu majątku
Resursy Obywatelskiej na rzecz banku ziemskie-
go, tymczasem zaś ograniczają luksusowe urzą-
dzenie klubu do najprostszycy warunków bytu,
zniżeniem składek dorocznych. Całe powiaty
wiążą się postanowieniem jeżdżenia tylko trzecią
klasą, zastąpienia kosztowniejszych depeş z po-
winstwowaniami przez kartki pocztowe, wyklucze-
nia wszelkiego zbytku z domu, z obyczajów
życia. Niema dnia, aby się nie pojawił jaki no-
wy w tym kierunku projekt, zalecający się na
przemian, to praktycznością, to poczciwością.
Głos p. Wincentego Niemojewskiego, który stale
daje się słyszeć, ilekroć wypada poprzeć jaką
szlachetną myśl lub znaczne postanowienie, i tym
razem się podniósł, że słusznem, choć niedość li-
czącym się z ludzkiemi słabostkami, żądaniem,
aby ustanowiona w stolicy rada nadzorcza czu-
wała nad stanem ogólnego rolnictwa i usuwała
od zarządu własnego majątku tych wszystkich,
którzyby dopuścili się nieporadności lub nieładu.
Któż przekona właściciela o jego osobistej nie-
udolności, kto go zniewolić potrafi do pokornego
wyznania, iż nie umie chodzić około własnego
zagonu? Ztąd też pomysł p. Niemojewskiego,
mimo słuszności punktu wyjścia, żadną miarą
przeprowadzić-by się nie dał.

Książę Bismarck miał się kiedyś poufnie wy-
razić, iż Polacy jeszcze mu będą kiedyś pomniki
stawiali. Policzek ów szyderczy chyba w ten
sposób gotów się spełnić, iż pomnikiem tym bę-
dzie ogólna z wad narodowych poprawa, spotęgo-
wanie pracy, nawyknięcie do twardego, niefol-
gującego żadnym fantazyom życia.

Kommissya kolonizacyjna obszernie już za-
jęła dzierzawy, dotąd jednak o kolonistach nie
słychać, a nawet w tym względzie ujawnia się
pewne zakłopotanie. Emigracyjny prąd nawyki
płynąć ku Zachodowi, nigdy się wstecz nie cof-
fając. Rząd nie wypowiedział też wcale, jak da-
lece zamierza ułatwiać osadnikom ich osiedlenie.
Dość, że ich nie widać wcale, a jak słychać,
dopiero z wiosną pierwszych mamy się spodzie-
dziewać kolonistów. Ozwały się nawet poważne
głosy, odradzające stanowczo projektowa-
ną kolonizację, natomiast zalecające utworzenie
obszernych dominiów i królestw. Względem
ekonomiczne z tą radą przemawiają. Rząd
płacił za hektar stosunkowo dość wygóro-
waną, jak na obecne czasy, cenę, przeciętnie da-
jąc 600 marek za hektar. Doliczając koszty
urządzeń, budowli, uregulowania ciężarów gmin-
nych, cena hektaru dorosła tysiąca marek,
a może i więcej, co wymagałoby wysokich czyn-
szów dzierzawnych, aby jakkolwiek drobny pro-
cent zabezpieczyć rządowi od wyłożonej summy.
Niewiadomo też, jaki obrót weźmie ostatecznie
sprawa osadnictwa.

Tymczasem cały szereg ustaw antypolskich
z ubiegłej zimy powoli wchodzi w rzeczywistość.
Rekruci nasi, zamiast, jak dawniej wypełniać
V-ty korpus poznański, który się tak odznaczył
męstwem we wszystkich ostatnich wojnach, obec-
nie rozsypanymi zostali po różnych miastach
niemieckich. W Holsztynie ich 800 się znajduje,
w Magdeburgu przeszło 1,000. Poseł Letocha
świeżo upominał się za osieroceniem duchownem
tych biedaków niemających nawet religijnej
opieki i posługi; głównym celem tej translokacji
ma być rozłączenie polskich Maćków z wiejskie-
mi Kaškami, i następnie nadzieja związków
z Niemkami. Ale piosenka o Wandzie drga

w każdym najprostszym nawet sercu, a trzech-
lecie wojskowe nie rozrywa węzłów serdecznych,
które żelazny księżę w swem ocenianiu, a może
nawet przecenianiu, Polek, radby mieczem roz-
ciąć. Nowe sejmowe narady, nowemi też grożą
nam ciosy. Poseł Kościelski w bardzo zręcznej
mowie zarysował stanowisko naszego koła wobec
projektowanych monopolów rządowych. Rządka
posiada on właściwość wywołania stale bezpo-
średnich na swe wywoły odpowiedzi ministeryal-
nych które go i teraz nie ominęły. Wpływowe
stanowisko, jakiego się w Berlinie dobją prze-
bywający tam bardzo teraz często burmistrz
koloński Miquel, zacięty sojusznik obecnego pra-
du antypolskiego i germanizacji *à outrance*,
zwiastuje nam nowe ciosy. Socjalizm państwo-
wy zastąpił u tego człowieka dawne sojusze
z socjalizmem ludowym. Trzech ich by' o ideo-
logów, wśród młodzieży uniwersyteckiej niemiec-
kiej zprzed kilkudziesięciu laty: zentoluje Marx,
Miquel i Hansemann. Ostatni reprezentuje dziś
potęgę finansową, na nędze ludu i zagadnienia
społeczne mało liłościwą; Miquel został bałwo-
chwalcą siły; jeden tylko Marx dotrwał na je-
dnem stanowisku, z którym tamci niepowrotnie
i zawczasu zerwali. A jednak, choć ubył socya-
listom niejedyn sprzymierzeniec, podobnych zaś
odstępstw spod ich sztandarów dałoby się niema-
ło zapisać i policzyć, nie nie wstrzymuje stopnio-
wego przyrostu i rozwoju siły, która bodaj roz-
strzygnie o losach Niemieckiego Państwa w nie-
zbyt oddalonej przyszłości. Ustawy wyjątko-
we wprowadzie pozornie wstrzymały postęp,
niemniej każdorazowe wybory dowodzą nie-
ustannego przypływie tej złowrogiej fali. Przy
wyborach z r. 1871 na 100 ważnych głosów pa-
dało ich trzy na Socjalistów. W r. 1878 już ich
było dziewięć procent i liczba ta przy później-
szych elekcyach się utrzymała, z tą atoli różnicą,
iż w większych miastach stosunek ów dochodzi
15-tu procent, w wiejskich okręgach nie podnosi
się nad 4. Okolice przeważnie katolickie zale-
dwie dostarczają dwa procent głosów na Socya-
listów, kiedy tymczasem inne wyznania niemal
do 8-miu dochodzą. Liczby to wymowne, niepo-
trzebujące komentarzy. Grunt nasz chyba wcale
się nie nadaje ku szerzeniu tej zarazy. Kandy-
dat Socjalistów zebrał tylko około 50-ciu głosów
w samym Poznaniu, i to przeważnie spośród rze-
mieślników niemieckich. Pessimisci zaręczają,
iż jeśli przyjdzie do rozwiązania parlamentu,
czego się tu ogólnie spodziewają, to nowe wybory
uwidatnią olbrzymi znów w Niemczech przyrost
Socjalistów, którzyby łatwo mogli dziś zdobyć
do 35 krzesel w parlamencie.

Smutne obecne czasy odejmują wszelką ochotę
do zjazdów lub rozrywek. Poznań pusty i ci-
chy, odpowiednie obecnej żałobie przybrał pozory
W tych warunkach pomyślny stan teatru pol-
skiego, zaiste, zadziwiającym jest faktem, świad-
czącym o wybornej administracji. Mimo słabego
uczestczenia publiczności oplaca się on i utrzymuje
wcale dobrze, a starannością i rozmaitością przed-
stawień przy taności miejsc, wabi i wiąże.
Wszelką nowość scena nasza w lot chwytła i
przyswaja sobie w skromnym sił swoich zakre-
sie. Poznaliśmy tak świeżo *Minowskię*, który
tu tem powszechniejszą obudził ciekawość, iż
młody autor uwieńczony konkursem sztuki, acz
rodem z Podola, licznym tu ma krewnych i przy-
jaciół. Wyzyskując zapal powszechny dla ostat-
niej powieści Sienkiewicza, jeden z naszych ar-
tystów, p. Popławski, zręcznie wysnuł z *Potopu*
cały szereg dramatycznych scen i obrazów efek-
townych. Wkrótce teatr nasz przedstawi poraz
pierwszy nowy utwór dramatyczny p. Józefa
Kościelskiego p. t. *W Imię Krzyża*. Nie zawsze
godzić się można na wszystkie pojęcia i poglądy
utalentowanego autora, ale trudno nie przyznać, iż
w tej pięcioaktowej sztuce znajdują się pierw-
szorzędne piękności. Małe koło Przyjaciół Nauk
pierwsze zakosztowało tych wrażeń, gdy p. Ko-
ścielski nowy swój utwór na jednym z ostatnich
posiedzeń towarzystwa odczytywał. Zimowa pora
mnoży też zebrania uczonego grona, gromadzące
się, nietylko, aby radzić o rozwoju umiłowanej
instytucji, ale nadto, by z kolei słuchać powtarza-
jących się odczytów, to takiego znawcy przeszło-

ści polskiej, jak p. Ignacego Zakrzewskiego, to historyka Saskich czasów, p. Kazimierza Jarochowskiego, który kartę po karcie z dziejów XVIII-go wieku podaje. Raz poraz jaki publiczny odczyt szerszą też zwabi publiczność. Świeciliśmy w podobny sposób rocznicę Batorego, odczyt zaś ku czci wielkiego króla wygłoszony przez młodego posła Ludwika Mycielskiego powszechnie wzbudził zajęcie, zwłaszcza, gdy prelegent z naciskiem stawiał przed oczyma słuchaczy wizerunek tego króla, który może dlatego u słabych i smutnych tyle obudza dziś wzruszeń czci i uwielbienia, że sam był niezłomnym siłą ducha i siłą woli.

CZYTANIE DLA DZIECI I MŁODZIERZY.

Nakładem znanej i literaturze naszej dobrze zasłużonej księgarni Gebethnera i Wolffa, wyszły dwie książki: jedna dla dzieci małych; druga, osnuta na tle naszej dziejowej legendy, przeznaczona już dla takiej młodzieży, która się historii uczy i zdarzeniami jej się zajmuje.

Bajeczki prawdziwe, są przekładem z francuzkiego, dokonany przez M. J. Zalewską, redaktorkę *Wieczorów Rodziny*, a to już poręcza trafność wyboru co do treści i czystość języka, złączoną z pewnym wdziękiem stylu, który czytanie przyjemnym czyni. Celem *Bajeczek* jest zaznajomienie młodych czytelników z naturą i jej zjawiskami, z życiem istniejących wśród niej stworów, co nie tylko daje dziecku pewne wiadomości w kierunku obranym, ale rozbudza zmysł spostrzegawczości i wyprowadza umysł ze stanu obojętności na to, co się w koło niego dzieje. Rzecz jest pisana dobrze, niektóre obrazki są bardzo ładne jak naprzykład pierwsza z kolei bajeczka „Obłóczek”. Ścigająca go wzrokiem dziewczynka dowiadyuje się powoli, jak w przyrodzie wszystko pracuje—woda, wietrzyk...

Król Krak i Królowa Wanda przenosi czytelnika w nasz świat pierwotny, w chwilę wyłaniania się narodu na jaw historyczny. Jestto jakoby nasze świtanie dziejowe, ztąd też książka, której wzorem jest *Stara Baśń* Kraszewskiego, może mieć i ma nawet poetyczność i malowniczość, właściwą momentom takim. Walka lechickiego plemienia Chrobatów z Niemcami—to treść książki, i tytuł już objaśnia, że wzięta jest z naszej przedhistorycznej przeszłości, a poświęcenie się Wandy, córki Kraka, czyli Krakusa, panującego w nadwiślańskim grodzie na górze Wawelu, jest na tem tle przedstawione.

Rzecz zaczyna się wśród puszczy leśnej. Zabój, wysłany na zwiady o Niemcach w stronę pobratymczych Moraw, przedziera się przez zarosłe gąszcze, wśród tajemniczego szumu słyszy tupot biegnącego stada żubrów, spotyka wilki, jelenie z ogromnymi rogami, i dążąc za śladem rąć żubrzych, odkrywa w puszczy mieszkania nawodne, gontyny bogów, osady pasieczne, obronnie wzniesione na usypiskach wyniosłych, umocowane częstokółem; kryje się przed zbójcami, potyka się z nimi, wreszcie trafia na Niemców i walczy. Przecież szczęśliwie dostaje się napowrót do Krakowa wraz z nabytym w drodze przyjacielem, mądrym, przebiegłym Liskiem.

Wszystko to opisane jest w sposób bardzo zajmujący, ciekawy, zabarwione pewną poetycznością w opisach natury pierwotnej, pełne przygód i dramatyczności, która potęguje się z chwilą stanowczej walki z Niemcami, gdy ci ślą do Krakowa posły w sprawie małżeństwa niemieckiego księcia Rytygiera z królową Wandą. Córka Kraka odmawia; wybucha wojna. Z jednej strony stają chłopcy ogromne, rudokudłe, rudobrodę, zakute w żelazne szyszaki i pancerze; z drugiej jest tylko jeden hufiec pancerny, reszta ludwioskowy, pierwotnie uzbrojony, z kuszami, z kosami. Szkoda, że taką zajmującą książkę zepsuło właśnie pod koniec szarżowanie jakieś niesmaczne, czy efektów tragicznych, czy niby-to

siły uczucia patryotycznego. Obraz okrutny „przypiekania podeszew nagich nóg“ jeńców niemieckich, aby zdradzili swoich, wydali tajemnicę sił swego wojska, jest jako nieludzki i dziko przykry, zgoła niepedagogiczny, tak jak i następny zabijanie jeńców na ofiarę bogom, gdy skrępowanych kładziono na kamień ofiarny a arcykapłan wbijał im w pierś nóż kamienny. „Gdy prowadzono jednego, inni musieli patrzeć na to“—opisuje autor i obrazuje dalej, jak ofiary traciły przytomność już pierw, nim je złożono na kamień męczarni, jak jeden nieszczęśliwy zerwał więzy i oszalały uciekał ku Wiśle, aby się rzucić w jej nurty. Schwytano go jednak i „pokrawionego“ w walce rozpacznej o życie, przyprowadzono pod nóż arcykapłana.

Nic się nie pytam: czy to ma być wierność w malowaniu epoki, czy to jest prawda, lub fałsz historyczny? Jest to zawsze i w każdym razie rzecz wysoko niepedagogiczna, bo nie taką to drogą przeprowadza się w sercach młodych edukacja uczucia—nie przez uczucie tego akcją ujemną, ale dodatnią: nie przez dzikie, ale przez szlachetne uniesienia zapala. Miłość świętości swoich trzeba w młode serca wdrażać i podnosić przez wielkie, wspaniałe obrazy bohaterstwa, poświęcenia, nieugiętości charakteru, ale nie psuć człowieka w rycerzy świętej sprawy. Niebezpieczna to metoda, która może zdrajców rodzić, gdy się da raz w złem sercu dzikość zwierzęcą jakimś lepem przynęty ułagodzić. Odpór serca, które nie chce Niemca-wroga ukochać, jest przy uczuciu miłości stanem tak naturalnym i tak w parze z miłością to chodzi, jak cień ze słońcem, ale nie w ten sposób kształcił się w edukacji człowieka owa miłość święta, dla której „zjadł smakuja trucizny.“ Gdyby w książce autora „Bitwy pod Raszynem“ był wystawiony taki rycerz lechita, który w uczuciu wyniosłem krzywdy rodowej, nie chce z Niemcami dzielić ani chleba, ani wody; skoro rękę niemiecką ku sobie wyciągniętą, dumnie odtrąca i gdyby wedle porównania Mickiewicza—wolał raczej rozpalone żelazo, niż tę niemiecką rękę ścisnąć, a szczególnie dla zysku, dla wziętku nigdy w służbę interessów wroga nie szedł, dla zysku, dla wziętku nie przeniewierzył się nigdy idei swego rodu—była-by to lekcja piękna: lekcja szlachetna, i godzi się dawać ją ludziom, ale tak w życiu, jak w książce...

Legenda, która jest zawsze kwiatem uczuć ogółu, taką lekcja przedstawia właśnie w ofierze Wandy. Ta królowa chrobacka, w nurty Wisły skacząca, śmierci się dla tego wydaje, aby jej powszechność nie cierpiała z jej przyczyny: aby nie gorzały chaty, nie płakały matki, syny ich nie szły w łyka niemieckie i autor już miał w przedmiocie swoim takie piękno etyczne, taką etyczną wskazówkę, że powinna go była ona prowadzić za sobą przez ten świat zamarty, który odtwarzał. I dla tego, że mieści się to w książce, darować jej można usterki pedagogiczne, i manierę jakąś grubiańską nic nie dowodzącego wykrzykiwania:—Niemcy psu-braty! „Z owoców ich, poznać je...“ — powiedział Chrystus i z owoców też życia, z życia czynów a nie z taniego zapalu słów sędzi się o uczuć potędze—o uczuć prawdziwie.

Ze jest jakieś upojenie wojownicze, bijące do serca i głowy z obrazów walk i bitew, z zapasów rycerskich, wątpliwości to nie ulega. Ale tu jest równość ofiary, nie ma więc mordu i okrucieństwa, tu człowiek mierzy się z człowiekiem w grze o śmierć i życie, które obie strony na szwank wydają w imię interessów droższych im nad istnienie własne, i to jest bohaterstwo, zawsze i u narodów wszystkich odbierające hold czci i serc uznanie. Rycerz!... wojownik!—to stać, która przez kojarzenie wyobrażeń samym widokiem swoim zapala fantazją ludzką i przedstawia się wyobraźni, jako obraz dzielności, mężstwa, poświęcenia heroicznego.

To też taki obrazek, jak rycina do rozdziału „Napad“ przedstawiająca noc wśród dzikiej puszczy, gdzie na tle luny ogniska odbija się konna postać szpiegującego Niemca, któremu Chrobata z poza krzaków pętłę na szyję zarzuca—to taka pełna fantazyi i wojennej grozy scena, przy której oglądaniu oczy, chłopców zwłaszcza, tak mo-

gą świecić uniesieniem, jak muszą zalać się łzami, gdy dalej widzą Wandę, która z wiślanego brzegu w nurty rzeki zstępuje. Zdejmuje swoje ozdoby, sygnety, manele — i w rucianym wianku ofiarnicy, z rozpuszczoną kosą, w wodę pada. Żaden naród nie ma piękniejszej, tkliwszej i razem wznioslejszej, więcej charakterystycznej legendy—nad to, u zarania dziejowego z mgły nadwiślańskiej występujące podanie o krakowej córce.

Książka ma ośm takich, treść ilustrujących, pięknych drzeworytów, rysowanych przez Czesława Jankowskiego. Wydanie bardzo przyzwoite, okładka bardzo ładna, przedstawia widok przedhistorycznego Wawelu, z basztami zamkowymi na szczycie, a smoczą jamą i wychylającym się z niej potworem u dołu. Dobrą gwiazdkę dostała w tym roku młodzież w tej starej baśni z zamierzonych wieków.

M. Ulicka.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 28 Grudnia 1886 r.

Paryż podczas świąt Bożego Narodzenia. — Wigilia u nas i tutaj. Fiziognomia miasta i ludzi. — Bulwary i noworoczny poemat. — Sardou i jego dramatyczne utwory w dwóch teatrach paryżkich. — „Patrie“ w wielkiej operze. — „Krokodyl“ w teatrze de la Porte Saint Martin. — Nowe oskarżenia autora o plagiat. — Ulbach i Sardou. — Reklamacye. — Ś.p. Waśkiewicz i p. Depréz z Akademii Nauk. — Pozew autora do policji proprawczej. — Konfiskata i zniszczenie dzieła.

(Dokończenie).

Ale wychodząc z tej powodzi podarunków świątecznych, muszę tu wspomnieć o dwóch nowościach, a chociaż nie są one czysto literackie, zapisać je przecież należy na tych kartkach, skoro cała tutejsza prasa, niemi się tylko zajmuje, starając się ile możliwości, wywyższyć i wychwalić jedno i drugie.

Mówię tu o Sardou'a: *Patrie*, przerobionej na operę—i przedstawionej w wielkiej operze paryżkiej, i o jego nowej komedii *Krokodyl*, granej w teatrze „de la Porte Saint Martin.“

O *Patrie* niema tu potrzeby rozwozić się zbyt, bo to dawna już sztuka, a nawet jeśli się nie mylę, była już przedstawioną w tłumaczeniu w Krakowie, lub we Lwowie. Czytelnicy więc mają już wyobrażenie o sztuce. Zresztą nie chodziło tu o sam tekst dramatu, ale o operę, a więc o muzykę. Żałuję bardzo, że nie mogę w tym względzie zadość uczynić; tym z moich czytelników, którzy kochają się w muzyce, ale nie jest to, jak powiadają, moja specjalność: czuję więc, że idąc temu naprzekór, wypłatałbym może herezycę, i dlatego wolę milczeć.

Powiem tylko, że stała się tu rzecz arcydziwna z partycją tej opery. Napisał ją, nie dziś, i nie teraz, niejaki pan Papadilhe—nazwisko dość dziwne, i jak dotąd, nieznanie nikomu. Partycya ta ofiarowana rozmaitym przedsiębiorcom muzycznych teatrów, znalazła tylko odmowę, i zimną przycięcie. Autor przeniósł ją wówczas do mniej wymyślnych sąsiadów i przedstawienie w Bruxelli, doznało, niestety! powodzenia szacunku — *un suc cès d'estime*, z czem sztuka wróciła do domu.

Raptem, zapomocą tych kombinacji subtelnych, które się nazywają reklamą, zapomocą potężnych wpływów Sardou'a, dyrektorów wielkiej opery paryżkiej, i pozyskanej na tę sprawę prasy. Stał się dziw, że człowiek wczoraj jeszcze nieznanany nikomu, dziś jest już wielkim człowiekiem, a jego opera dziełem: *Sans précédent*, jest to wyrażenie uświęcone w tej chwili. Korzystając z okazji, dotkniętych powodzią na południu Francyi, urządzono w operze niby próbę generalną tej opery, ale próbę płatną! i za jaką cenę! i tak wprowadzono na scenę sztukę, która bez tego, możeby nigdy nie przeniknęła w obręby arystokratycznej opery.

Dzięki ogłuszający wrzaskom wszystkich organów tutejszej prasy, powodzenie ma się rozu-

mieć, było „Sans précédent“, ale wy nie wiercie temu. Zamiast arcydzieła, czytajcie „pierwszą lepszą operę“, z której jeśli usuniemy na stronę bardzo świetne dekoracje, piękne kostiumy, balet odtańczony przez pannę Subra i tysiące innych dodatków, a pomiędzy niemi, niezawodzący w skutkach śpiew tej syreny, która się zowie prassą paryżką, zostanie: muzyka opery, zapewne, nie bez pewnej zalety, ale też bardzo dalekiej, od arcydzieła.

Co do *Krokodyla*, jedno tylko można powiedzieć: że p. Sardou dokazał prawdziwej sztuki, wprowadzając jednocześnie na dwie ważne sceny paryżkie, dwa dzieła tak małej wartości; ale te dzieła wspierając się wspólnym rozgłosem, budzą uspio- ne echa na dwóch końcach bulwarów i *volens nolens* sprowadza ą publiczność do teatru a franki do kassy, co było głównym zadaniem.

Krokodyl nie jest to ani komedia, ani dramat; jest to jedna z tych hybrid, które się zwykle zjawiają tam, gdzie sztuka dramatyczna do upadku się chyli. Jest to zbiór scen i obrazów, bez żadnego związku z głównym przedmiotem sztuki, a których zadaniem jest zapełnić scenę, dzięki zaś dekoracyom i grze aktorów tak zamydlić oczy publiczności, że ta ani się postrzeże, jak przełknie najgłębszą w gruncie fabułę!

Osądźcie sami! Niejaki Ryszard Kolt—*alias* Jerzy Morghan, główny bohater, a pełnomocny agent swojego stryja Jakóba, zamożnego bankiera z Batawii, wplątawszy się niebacznie w spekulacje giełdowe, przegrywa sto dwadzieścia pięć tysięcy florenów, które odebrał od jednego z dłużników swego mocodawcy. Nikt nie wie—i wiedzieć nie może—o tem prócz stryja, ale autor powiada, że wyrzuty sumienia nie dają pokoju Ryszardowi; pisze więc list do stryja, wyznaje swą winę i puszcza się w podróż, dla zdobycia straconej fortuny, w świat, het, daleko do Australii, do Kalifornii, do Indyi Angielskich. Wszystko mu jedno, gdzie go los zapędzi, byleby nie wracać do Batawii!...

Ale los ma swoje drogi, po których prowadzi człowieka. Wskutek wypadków, o których zaraz powiemy, jak zając spłoszony, złodziej powraca na miejsce popełnionego występku, do Batawii. A gdy się sam oddaje w ręce sprawiedliwości, dowiaduje się o śmierci stryja, który, umierając, nie tylko mu przebaczył, ale zapisał mu całą swą fortunę. Złodziej więc, okradłszy sam siebie, odbiera nagrodę swej cnoty... Oto jest rdzeń, oto przedmiot sztuki. Ale ten przedmiot pod piórem p. Sardou staje się epizodem tylko; bo zamiast rozwijać się prosto i logicznie przez całą sztukę—dochodzi on do wiadomości publicznej, w opowiadaniu samego bohatera, między dwoma całusami!

Główne sceny tej sztuki, zapełnia inna wcale historia. *Krokodylem* jest parowiec płynący do Australii, i na którym się znajduje, uciekający z Batawii, Ryszard Kolt czy Morghan. Sztuka się rozpoczyna na pełnym morzu i we dwa czy trzy dni od wyjazdu z Batawii... i kiedy już Ryszard uchodzi za pewien rodzaj bohatera, uratowawszy z narażeniem życia tonące dziecko, które przypadkiem wpadło do morza.

Widzimy więc zebrane na pokładzie parowca różnojęzyczne towarzystwo. Składa się ono, jak na każdym pokładzie przewozowych statków, z wielkiej liczby osobistości, które p. Sardou wprowadza w grę za pomocą sznurków. Wszystko to się porusza, kręci, i miesza; ale od samego zaraz początku widzimy Ryszarda, *flirtującego*, z panną Lilianą de Wilt, śliczną czytelniczką nieznośnej Angielki, ale pochodząca ze szlachejnej hollenderskiej rodziny, której majątkowa ruina, zmusza ją przyjąć tak skromną pozycyą, u Mistres Chipsik.

Wśród tej gry lalek, jak mówiłem, mało obchodzących widza, słyszy on opowiadanie o bohaterem postępkach Ryszarda—i asystuje pierwszym zawiązkom miłosnego flirtu, pomiędzy zbiegiem z Batawii i p. de Wilt, ale tę sielankę przerywa nagle straszna wiadomość, że ogień wybuchnął w magazynie węglowym statku, i że parowiec jest bez ratunku... Jedno, co pozostaje passażerom i ekipażowi, to opuścić go natychmiast na łodziach.

Tu następuje scena zamieszania i popłochu. Passażerowie wsiadają nareszcie do spuszczonej łodzi. Parowiec, ogarnięty płomieniem, zapada w morze, a na nim ginie, ofiarą obowiazku swego, kapitan statku. Spektatorowie mają więc czem zabawić oczy! Wiażą odpływające i nikiące w dali morskiej łodzi *Krokodyla*, przepelnione pasażerami, widzą pogrążający się w morzu parowiec w płomieniach. Czegoż jeszcze żądać więcej?...

W następnym akcie łodzi przybijają do bezludnej wyspy. Rozbitki się organizują, zakłada się koczowisko, jak niegdyś w Robinsonie Szwajcarskim, Rudolta Wyssa. Ale tu zaraz się formują dwa stronnictwa: konserwatywne, to jest większość spokojna i posłuszna, która się podaje rządowi Ryszarda, obranego gubernatorem, i anarchiczne, to jest mniejszość złożona ze służby i awanturników, która konspiruje przeciw tej władzy... Wreszcie, po trzech miesiącach pobytu, kiedy większość w założonej kolonii wyprawia jakieś gody, wybucha rewolucya, gubernator jest schwytywany, poczem się większość poddaje, i zamach stanu wynosi do władzy, niejakiemu Strapulosa, rzezimieszka z Malty.

Zamach wreszcie spełniony; spiskowi domagają się od Ryszarda, wydania im zapasu broni i ładunków... o których skrytce on jeden wie tylko. Ryszard odmawia i zostaje skazanym na śmierć przez powieszenie. Ale w chwili, gdy go już windują na gałąź, zjawiają się, morscy rozbójnicy malajscy i zabierają wszystkich do niewoli, ma się rozumieć, oprócz Ryszarda na gałęzi i Liliany omdlałej w krzakach.

Po odwrocie malajskich rabusiów Ryszard złączy z gałęzi, uwalnia się dość zręcznie z więzów, odszukuje Lilianę, budzi ją z omdlenia, i wyznaje swą miłość, ale też wyznaje zarazem i swój występki. Tu więc spektatorowie dowiadują się o tem, cośmy na początku powiedzieli i o czem nic ich oświecić nie mogło. Liliana zrazu się oburza, słysząc o tak haniebnym postępkach swego bohatera, lecz gdy ten jej objawia, że okradziony był to jego rodzony stryjasek—wspaniale odpuszcza mu winę!

Tu, jak na zawołanie, zjawia się wybawienie dla opuszczonej pary, w postaci hollenderskiego parowca *Lotusa*, który zwyciężywszy na morzu malajskich rabusiów, uwalnia całą załogę, zabiera kochanków i do Batawii napowrót odwozi! Poczem, następuje zakończenie, o którym mówiliśmy wyżej, ale to zakończenie, dla większej świetności, odbywa się w pałacu wielko-rządzącego Batawii, wśród najwspanialszego balu!

Jak mówiłem, jest to sztuka, ale się ona nie nazywa ani komedią, ani dramatem, ale sztuką robienia pieniędzy! A że żadne dzieło Sardou'a nie może się ukazać na scenie bez wywołania czyjejs reklamacji o plagiat, więc i tutaj znalazł się pretendent do podziału zysków—w osobie Lud. Ulbacha. Dwadzieścia pięć lat temu, napisał on, jak powiada, powiastkę, której bohaterem był również złodziej własnej fortuny; prawie w tychsamych warunkach, nawet z rozbięciem się na morzu i z bezludną wyspą. Ale mu Sardou na to odpowiada dość sprytnie: u ciebie, mój bracie! jest to główne wiązanie twej sztuki, a u mnie, to epizod i opowiadanie króciuchne, wzięte z ostatniego dziennika wychodzącego w Sydney. Szukajcie wiatru w polu! z tak wyparzoną gębą akademicką!

Czytelnicy *Bluszczu* nie zapomnieli zapewne tego hałasu i zgorszenia, jakie się stało z powodu książki p. Drumonta pod tytułem: *Francya Żydowska*. W swoim czasie mówiliśmy o tem, i na tyle, na ile nas stało wypowiedzieliśmy nasze słówko o jej wartości i znaczeniu. Czas przeszedł, już rok cały, nad dziełem i nad krytyką. Nic jednak nie zmieniło się w tej ostatniej co do samego pierwszego zdania; pomimo, że wielu ludzi i zacnych i bardzo mi drogich utrzymuje wielką użyteczność tej książki—dla kogo? i dlaczego?—ja przecież powiadam, że jest to nie warte, bo tylko pobudza do nienawiści i prześladowania.

Nie biorę tu wcale w obronę Żydów, bo nie mam do tego żadnego upoważnienia i powodu; sami oni potrafią podjąć zadaniu. Nieraz już, i nie dwa, wyszli oni z twardszych kleszczów,

od owych szczypczyków Drumonta: dadzą więc sobie i tu radę; ale mówię, że książka ta jest nie warta, bo gwałtu wszelkiego i niemiłosierdzia znieść nie mogą. Nam, zwłaszcza nie godzi się potakiwać tego rodzaju krzyżowym wyprawom! Sami Żydzi zresztą pokazali, jak im należy się bronić w tej sprawie.

Żydzi zamilkli. Sza! ani słówka odpowiedzi, żadnej polemiki. Po pierwszych pojedynkach, z których dosyć się naśmiano, nastąpiła cisza i spokój. Przerwał je nowy tom trzeci, dzieła; pierwsze dwa tomy *in gratiam* skandalu przyniosły tak piękny zasób wydawcom i autorowi, że warto było ogłosić ciąg dalszy. Tom III nosi tytuł: *Francya Żydowska wobec opinii*. Zawartość książki nie odpowiada tytułowi; chyba, że się doda: wobec opinii autora. Jest to gwałtowniejszy jeszcze pamflet od poprzedniego, bo ma głównie na celu usprawiedliwienie osobiste autora, i deklaracyą wojny wydanej—Rotschildom! *Risum tenentis!* W całej tej książce, jak i w poprzednich, nie ma nic, co by zasługiwało na szczególną uwagę publiczności. Cel zbyt widoczny: jest to wyzwanie Rotschildów, aby wystąpili w szranki; ale to są *pia desideria*.—*Car de Conrad ils imitent le prudent silence!*

Tymczasem, rozgadawszy się o swoim pierwszym pojedynku, w którym go Daudet widział w postaci średniowiecznego paladyna, P. Drumont potrafił Waśkiewicza, który, jako *Espada primera* fechtunków, wydał dość nieprzychylnie świadectwo dla p. Drumonta, z powodu tego pojedynku. *Inde irae!* Niestety! biedny Waśkiewicz, umarł nagle w tych czasach, ale przed śmiercią, kiedy go pytano: czemu nie da nauki, za niektóre dość szorstkie wyrażenia, znajdujące się w książce p. Drumonta?—„Zmiłujcie się!—powiedział—gdybym go wyzwał, i gdyby mnie on choć trochę zadrasnął, co się może zdarzyć swoim *nożykiem*, jak on nazywa szpadę, byłbym człowiekiem zgubionym na wieki, a gdybym go zabił, co by się zdarzyło niechybnie, powiedziano by wówczas, że mi Żydzi zapłacili, aby go zgładzić ze świata“!

Ale oto powstaje dziś nowy mściciel w osobie p. Depréza, dyrektora towarzystwa *des forces motrices*, (boję się tłómaczyć popolsku, aby uniknąć dziwoląga!) P. Depréz, jest to znany tu i biegły inżynier, członek instytutu i stanowiący tu rzeczywiście uczoną powagę.

Towarzystwo *des forces motrices*, które się zawiązało pod wpływem i ze współdziałaniem Rotschildów, ma szczególnie na celu: zastosowanie elektryczności, jako siły poruszającej (jak woda, para i t. d.), i rozwiązanie dotąd jeszcze zagadkowego zadania, przenoszenia elektryczności, jako siły, na odległości nieograniczone, jak się dziś przenosi tażsama elektryczność, we względnie komunikacyi telegrafów, tej tajemniczej siły. Jednym słowem: idzie o to, aby parę zastąpić elektrycznością!

Otóż p. Drumont, uważając p. Depréza, jako agenta i instrument akkaparacyi w ręku Rotschildów, nie tylko mu odmówił wszelkich zdolności, ale podaje go wszystkim za prostego intryganta, za przywłaściciela cudzych prac sobie i za fałszerza, który pod swem nazwiskiem ogłasza nie tylko tłómaczenia prac niemieckich uczonych, ale bezczelnie nawet przywłaszcza sobie prace młodych uczonych francuzkich. Kończy zresztą na tem, że p. Depréz niema ani zasługi, ani nauki, któreby mu dawały prawo zasiadać w Akademii Nauk!

P. Depréz zapozwał go więc przed sąd 9-ej izby poprawczej policyi, jako oszczercę. Sprawa jest zapisana na 5 Stycznia. Powiadają, że p. Drumont nie stawia się przed sądem, bo uważa ten termin za zbyt krótki, aby mógł przygotować dostateczną obronę i zebrać potrzebne dokumenta. Utrzymuje bowiem, że dowiedzie wszystkiego, czarne na białem. Zobaczymy! Tymczasem założy apellacyą od wyroku wydanego na zaoczność, i sprawa się wznowi, na przyszłej kadencyi. Pan Marceli Depréz żąda w swym pozwie konfiskaty dzieła i zniszczenia wszystkich exemplarzy, które można będzie pochwytać. Ciekawa sprawa! ale czekajmy końca.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Sfotografowanie Drogi Mlecznej.—Straszliwa siła piorunu.—Niezwyczajne zjawisko wytworzenia się sześciu trąb morskich w ciągu pół godziny.—Zdjmowanie widoków fotograficznych w balonie.—Kolosalne działo Bange'go.—Nowa, genialnej konstrukcji, machina piekielna.—Przeniesienie latarki morskiej 70 stóp wysokości mającej.—Jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża gimnastykom kąpielowym.—Pochodzenie różnic w zatruciach siarkowodorem.—Nowa plaga wiewiórek.—Nowa metoda w leczeniu obłądzenia umysłowego.—Wyniki pozyskane z badań dundaki-uy.—Odnalezienie szczątki wyprawy p. Crevaux.

Braciom Pawłowi i Prosperowi Henry zawdzięczamy zbudowanie nowego przyrządu fotograficznego, za pośrednictwem którego można otrzymać przepyszne obrazy drogi mlecznej.

Kliska przedstawiona przez tych fizyków paryżkiej Akademii Nauk obejmuje blisko 3,000 gwiazd od 6 do 15 stopnia wielkości, z których każda dla udokładnienia zdejmowana była trzy razy.

Przez trzy godziny z kolei po sobie następujące astronom powinien, z okiem utkwionem w sklepieniu niebieskiem, utrzymywać lunetę stale zwróconą w jeden badany punkt firmamentu.

Pod mikroskopem zwiększającym 20 lub 30 razy wszystkie szczegóły tak pozyskanej fotografii uwidoczniła się nieporównana ich czystość.

Wobec tego świetnego rezultatu, znika wszelka wątpliwość, jaka mogłaby się nasuwać, co do możliwości dokładnego zobrazowania całego sklepienia niebios.

Z podobnymi kliskami astronom może badać niebo w swym gabinecie, posługując się jedynie mikroskopem, gdy niepogoda udaremni mu obserwację w naturze przestrzeni planetarnych.

Dla odtworzenia 41,000 stopni powierzchni sklepienia niebieskiego potrzeba byłoby 6,000 takich klisk, które sformowałyby 1,500 kart ekliptycznych.

Przyjmując, że sześciu lub ośmiu obserwatorów, odpowiednio rozmieszczonych na obu półkulach zajmie się tą pracą, i że każdy z nich odrobi 150 do 200 klisk w ciągu roku, to najdokładniejsza karta nieba, obejmująca przeszło 20,000,000 gwiazd, aż do 14 i 15 stopnia wielkości, będzie mogła być wykonana w ciągu pięciu lub sześciu lat.

Byłoby to niewątpliwie dziełem najznakomitszym i najważniejszym, jakiego kiedykolwiek dokonano; przekazano by astronomom przyszłych czasów jaknajwierniejszy stan nieba, bez błędów i możliwych opuszczeń, z końca XIX stulecia.

Obserwatorium Paryżkie zamierza zająć się tą pracą, posiłkując się kolosalną swą lunetą, która już służy do wytworzenia karty ekliptycznej.

Spodziewać się wypada, że astronomowie, tak europejscy, jak i amerykańscy, przyjmą chętnie żywy udział w tem dziele.

Kamil Flammarion podaje ciekawy fakt olbrzymiej siły piorunowej.

W obserwatorium astronomicznym w Juvissy uderzył piorun z tak gwałtowną siłą, że wszystkie sąsiednie budowle w szerokim promieniu, wstrząsnęły się w swych posadach. Elektryczność zerwała gruby nit żelazny, wdarła się przez kopułę do wnętrza, wyrwała z siłą zdumiewającą dwa potężne odłamy plinty, przytwierdzonej do muru grubymi ankrami żelaznymi, oraz część belkowania z drzewa dębowego.

Piorun zdruzgotał je w trzaski w kierunku włókien drzewnych i odrzucił na odległość 18 do 28 stóp polskich, w różne strony. Naokoło muru tworzącego podstawę kopuły mieściło się sześć małych okrągłych okien ze szkła kolorowego, dwustopowej średnicy na zawiasach.

Otóż w oknie znajdującym się naprost miejsca, w które uderzył piorun, przebiwszy kopułę, zdołał on w sposób niepojęty i tajemniczy z odległości 18 stóp wtłoczyć w tylną część zawias odłam drzewa z taką siłą, że niemożliwym było go ztamtąd wyrwać. Odrzucone drzewo było literalnie porozdzieranem na włókna, jak konopie.

Naprzeciw okna, w odległości może dziesięciu stóp, stał stolik, a na nim ustawiono pionowo pięć ciepłomierzy, jeden przy drugim. Prąd elektryczny obalił je; z tych jeden zrzucenym został na podłogę nie poniosłszy jednak żadnego uszkodzenia.

Na tym stoliku spoczywał sextant, który, jak się zdaje, odegrał rolę przewodnika w przepływie elektryczności w tę stronę.

W San Remo obserwowano niezwykle zjawisko, którego opis przesłała Julia Braddon, redaktorowi „Przeglądu Astronomicznego“ w Paryżu.

W ciągu pół godziny wichrzyło tam sześć trąb morskich jedna po drugiej; z tych cztery były zupełnie sformowane, natomiast dwie pozostałe zawisły między morzem a niebem jak olbrzymie węże, których głowa kryła się w chmurach, a ogon roztrącał fale. Morze było przedtem ciche, lecz barwy złowieszczej, purpurowo-zielonej. Cała głębia horyzontu wydawała się jasną, pogodną, pozostała zaś przestrzeń nieba zapełniała groźna masa chmur ciężkich, czarnych, jak atrament, w których głucho wyl orkan. W pewnych odstępach czasu deszcz spadał w potokach gwałtownych, przy wietrze południowym, w kierunku Nicei; od wschodu słońce kiedy niekiedy wynurzało się z chmur, obrzucając trąby swemi promieniami, a jednocześnie od zachodu nadciągająca burza ciskała błyskawice.

Osobliwszy kształt i wygląd przedstawiała jedna z trąb, która zdawała się wznosić z morza ku niebu, w postaci okrętu pływającego.

Doświadczenia dotyczące zdejmowania fotografii w balonie niedawno odbyte zostały przez Tissandier'a, w towarzystwie pp. Ducom'a i Prus'a inżyniera sztuk i rękodziel. — W wysokości 600 do 1,100 metrów (2080 do 3814 stóp prawie), powie, pozyskano kilka doskonałych klisk.

Ducom zajmował się wyłącznie fotografowaniem, Tissandier natomiast pełnił funkcję sternika aerostatu. Przyrząd fotograficzny urządzono na krawędzi łódki w ten sposób, że mógł obracać się na swej osi, lub być zniemionym.

Wyruszone z Paryża w podróż powietrzną przy wietrze południowo-zachodnim, żeglując w stronę północno-wschodnią. W dziewięć minut po wzniesieniu się, zdjęto pierwszą fotografią ulicy Babilońskiej i magazynów na Bon-Marché, w wysokości 670 metrów (przeszło 2,322 stóp polsk.). Na fotografii tej uwidocznione zostały wszystkie szczegóły ogrodów, znajdujących się w tej dzielnicy miasta i na ulicach przyległych.

Drugą fotografią, mostu Saint-Michel, zdjęto z tejże prawie wysokości. Most i pobrażę S-go Michała, pobrażę Marché-Neuf i zarząd straży pożarnej w bliskości prefektury policji, z wielką czystością przedstawiała kliska.

Zobrazowane zostały tu wyraziście oprócz

gmachów piętnaście powozów przejeżdżających przez pobrażę Marché-Neuf, tramwaje i przechodnie w najrozmaitszych pozach. W wysokości 605 metrów ponad wyspą Saint-Louis otrzymano przepyszną kliszę, obejmującą most Ludwika-Filipa, port, pobrażę Hôtel de Ville, ulicę Ballay i krawędź wyspy S-go Ludwika.

Rozpatrując tę kliszę pod mikroskopem, ujawniają się najdrobniejsze szczegóły, jak liny statków, postacie przechodniów na pobrażu, i t. p. Można na tej kliszy zliczyć kominy domów, taką wyrazistością się odznacza.

Podobną dokładnością zaleca się kliska pozyskana w kilka minut potem, na wyniesieniu 800 metrów. Prócz tego otrzymano dwie piękne fotografie zdjęte z wysokości 1,000 i 1,100 metrów (3,467 i 3,814 stóp polsk. prawie).

W łódce balonowej łatwo pomieścić, z dwoma przyrządami fotograficznymi, dwóch operatorów zdejmujących widoki nieustannie i w ten sposób pozyskać dokumenta topograficzne, nieporównanej dokładności, a nadto można użytkować z przyrządów panoramowych.

Dzięki nowym processom rewolwerowym, fotografowanie tego rodzaju nie przedstawia żadnych trudności i może oddać niemale usługi sztuce wojskowej.

Balon Tissandier'a osiągnął wysokości 1,900 metrów (przeszło 6586 stóp polsk.) i osiadł w okolicach Reims.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYSTAWA SZTUKI DEKORACYJNEJ.

Hr. Walewski uzyskał pozwolenie władzy na urządzenie w Warszawie wystawy sztuki dekoracyjnej. Wystawa otwarta będzie d. 1 Marca r. b., a obejmie tylko przedmioty w różnych stylach, aż do pierwszego cesarstwa włącznie, oraz przedmioty epoki dzisiejszej, które otyle na wystawę przyjmowane będą, oile zalecają się cechą artystyczną. Przyjmowane będą na wystawę wszelkie wzory odnoszące się do architektury stylowej, malarstwa, rzeźbiarstwa, tapicerstwa, stolarstwa, ramiarstwa, pozłotnictwa,—nadto szkło, porcelana, ceramika, oraz wyroby innych rzemiosł mające związek ze sztuką. Względnie do uznania komitetu, złożonego ze znawców sztuki, przyjmowane będą przedmioty starożytne i zagraniczne, służyć mogące jako wzory niepodchodzące pod konkurs. Pragnący uczestniczyć w wystawie sztuki dekoracyjnej, złożyć winni: a) kwotę 30 rub. jako kaucyę, która z końcem wystawy zwrócona będzie, oile wydatki zostaną pokryte z dochodu, oraz b) deklaracyę na ręce p. Stanisława Brzozowskiego, rządcy domu hr. Walewskiego w alei Jerozolimskiej N 25, pomiędzy godziną 9-tą z rana a 1-szą z południa, a to najdalej do d. 20 Stycznia r. b. Na złożoną kaucyę wydawane będą kwity z podpisem hr. Walewskiego (Bracka 18), od 10-ej do 11-ej z rana, lub p.M. Olszyńskiego (Obózna 7), od 3 do 5-ej z południa. Czysty dochód oile będzie osiągnięty z wystawy, przeznacza się na cele dobroczynne, na nagrody pieniężne dla wystawców, na konkursy i zakupy celniejszych przedmiotów. Komitet wystawy uprosił już trzech swoich członków do kwalifikowania przedmiotów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ: W tęsknocie, poezya, przez M. Ilnicką. — Jan Matejko, charakterystyka, (dalszy ciąg), przez St. Krzemińskiego. — Zabiegi pana Piotra, powieść (dalszy ciąg), przez Sewera. — Trzy miłości Szopena, (dalszy ciąg), przez Maryę Ilnicką. — Nowiny paryżkie, (dokonanie). — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Czytanie dla dzieci i młodzieży, przez M. Ilnicką. — Z działu przyrody, przez W. Niewiadomskiego. — Wystawa sztuki dekoracyjnej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyę stołu.

DO DĄTEK DO BLUSZCZU.

Nr 2.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Koszyk do papieru.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 1. Wzór piew. str. tabl. Nr V, fig. 31.

Lakierowany koszyk z grubych słomianych skrętów, 40 cent. wysoki, 32 cent. szeroki, przyozdobiony jest z dwóch boków draperiami z pluszu oliwkowego, oraz trójkątnym haftem, wykonanym podług fig. 31; środkowe ściany koszyka powleczone są marszczonym kaszmiem bordeaux, denko zaś obciążone jest gładko na podkładzie z tektury. Sznury z włóczki perskiej ceglastej koloru i różnokolorowe puszyste pompny, zdobią koszyk podług ryciny. Dla wykonania trójkątów haftowanych należy deseni podług fig. 31 przenieść na oliwkowe sukno lub bawełnę, kontury arabesków obwieść łańcuszkowym ścięciem filozelą a następnie metalowym i złotym sznurkiem, a środek dopełniać hamburską włóczką i filozelą, ścięciem dzierganym, płaskim, łańcuszkowym i pocztowym, poczem należy wyciąć sukno pomiędzy konturami deseni, a haft podłożyć serbską tkaniną przerażaną złotem, brzegi zaś oliwkowym pluszem. Sznury z perskiej włóczki i złotej przędzy, należy wykonać w następujący sposób: podwójną nitką 1 oczko * 1 pow. ocz. wydłużone na 2 c. szydełko raz obrzucić. 1 tej samej długości ocz. zebrać z poprzedniego ocz., oczka na szydełku będące 1 oczkiem przerobić, od * powtórzyć. Kwasiaki z ceglastej

perskiej włóczki, przewiązywane są złotą nitką podług ryciny.

Szalczki do serwet i t. p.

Rycina Nr 2 i 3 w Bl. Nr 1.

Szalczki wykonane na grubym płótnie, kolorową bawełną Nr 16, nie puszczejącą w praniu. Szalczek ryciny 2, wykonany jest pasową grana-

tową i brązową bawełną. Na drobne kwadraciki stanowiące główny deseni, należy opuszczać 4 nitki tkaniny wzdłuż, poczem wykonać 4 ścięgi równiutkie przez 4 nitki tkaniny, następnie odmiennym kolorem bawełny, w ten sam sposób pozostałe figury deseni opuszczając podług wzoru potrzebną ilość nitek tkaniny. Szalczek ryciny 3 wykonany jest w ten sam sposób bawełną pasową w dwóch cieniach.

Suknia balowa z tiulu w deseni.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 1.

Spódnice jedwabną uzupełnia plisowana falbana z niebieskiego „satin-merveilleux”. Tiunika z niebieskiego tiulu w deseni, zebrana w sute fałdy z prawego boku, oraz lekko rzucona na tylne fałdy spódnicy, naszyta jest u dołu dwa razy niebieską morową wstążką. Stanik tiulowy na niebieskim spodzie, zdobi berta i kokarda z wstążki. Pukle z wstążki z trzema końcami długości spódnicy, zdobią prawy bok takowej.

Fartuszek dla dzieci od 1 do 5 lat.

Rycina Nr 19 i 20 w Bl. Nr 1. Deseni odwr. str. tab. Nr X, fig. 61 i 62.

Na ten fartuszek należy ukroić z kremowej satynety podług fig. 61 jedną część złożoną wzdłuż środka oraz rękawek podług fig. 62, u dołu należy wykonać hacik krzyżowym ścięciem, pasową bawełną, na podkładzie z kanwy podług wzoru przedstawione-



Nr 1. Suknia rautowa z jedwabnego repsu. Plecy. (Dorye. 14).

Nr 2. Płaszczek wieczorowy.



Nr 3. Koronka robotą szydełkową.

go na ryc. 21, poczem należy zmarszczyć przednią i tylną połowę od górnego brzegu do linii, przód na 6 cent., tył na 4, a w pasie do 7 cent.; następnie należy wszyć fartuszek w oszewkę 4 c. szeroką, z przodu 20, z tyłu 12 cent. długą, łącząc takową ramiączkami tej samej szerokości, 10 i pół centim. długości, przyozdobivszy ją poprzednio takim samym haftem, jak dół fartuszków. W pasie należy dać również szlaczek haftowany, wreszcie guziki do zapinania fartuszków na plecach.

Kapelusik dla panienek od 10 do 12 lat.

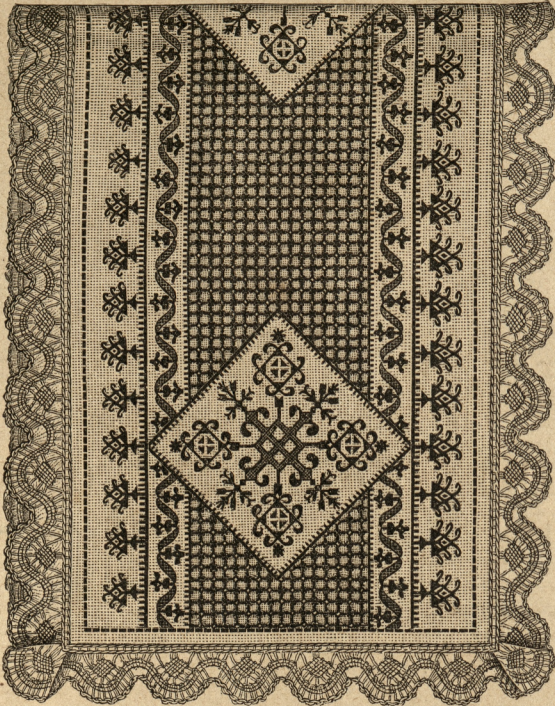
Rycina Nr 22 w Blu. Nr 1.

Foremka tego kapelusza 8 cent. wysoka, powinna mieć u góry 50, a u dołu 55 centim. obwodu. Po obszyciu foremki drucikiem i podszyciu jedwabną podszewką, należy dolny brzeg objąć ukosem szafirowym; na główkę zaś ukroić z mięniącego aksamitu szafirowego z pasowym, część owalną 48 cent. długą, 44 c. szeroką, poczem tę ostatnią ułożyć na foremce podług ryciny, składając do tyłu coraz szersze fałdki. Duży pukiel z ukosu aksamitnego, złożonego we dwoje, przepięty ozdobną spilką z drzewa i brązu uzupełnia kapelusik opasany nad czołem aksamitem szafirowym.

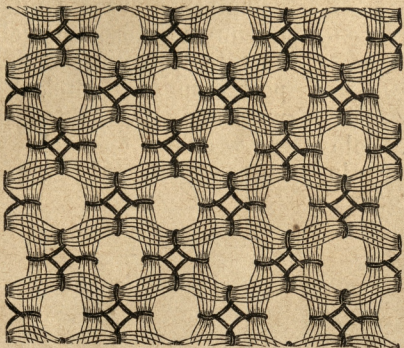
Szaliki i chustki na głowę.

Rycina Nr 24 do 26 w Blu. Nr 1.

Rycina 24 przedstawia szalik 46 cent. sze-



Nr 5. Obrus podłużny ażurowy robota i Holbeina ścięciem. (Do ryc. 6 i 7 oraz ryc. 16 w Bl. Nr 1)



Nr 6. Deseń ażurowy do ryc. 5.



Nr 7. Kwadrat do ryc.



Nr 4. Koronka do ryc. 11 robotą szydełkową

Serweta na mały stół.

Rycina Nr 18 i 28 w Bl. Nr 1. Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 66.

Serwetka z atlasu koloru oliwkowego, przyozdobiona szlakiem haftowanym podług fig. 66. Po przeniesieniu konturów deseni na atlas, należy wykonać haft podług ryciny 18 kordonkiem, ścięciem gałazkowym, supełkowym i pocztowym, poczem otoczyć każdą figurę deseni grubym jedwabnym kordonkiem koloru piaskowego, zwiniętym z przędzą złotą. Brzeżek pasmanteryjny i rząd bombelków włóczkowych, uzupełnia całość tej serwetki, podbitej atlasem pasowym.



Nr 8. Deseń na torebki i t. p

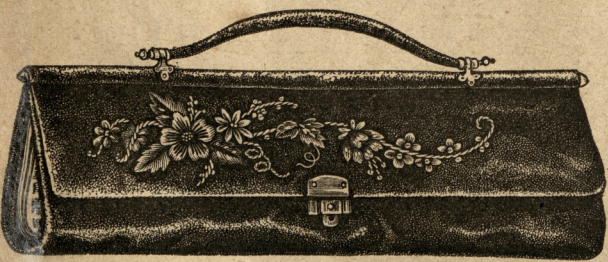
Suknia rautowa z jedwabnego repsu.

Rycina Nr 1 i 14.

Przód tej sukni zrobiony z atlasu czarnego, tren z ciężkiej czarnej materyi prążkowanej. Przedni i boczne bryty zakończone są u dołu falbanką, oraz dwoma marszczonymi brytami koronki, tren mający 220 cent. szerokości, a 195 c. długości w samym tyle, do boków trochę ścięty, zakończony marszczonym, we dwoje złożonym ukosem z materyi. Przednią draperyę stanowi koronka, połączona z bogatymi galonami z pereł i szeroka

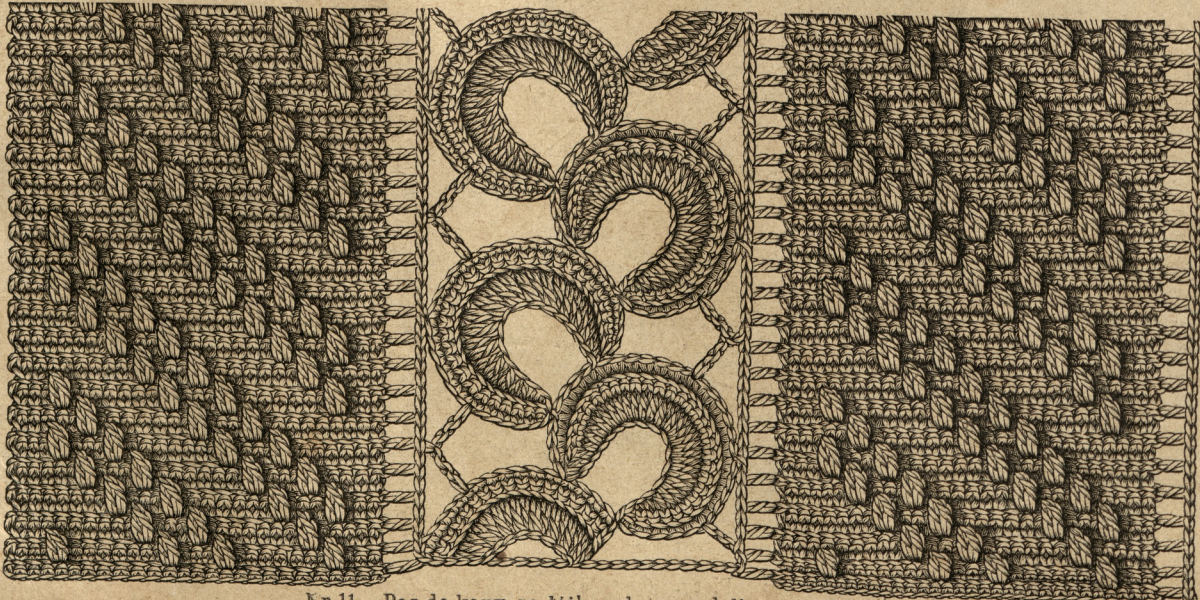


Nr 10. Poduszeczka do spilek.



Nr 9. Teka na nuty z haftem.

roki, a 175 cent. długi, z pasowego, czarnego i żółtego jedwabiu, przyozdobiony ażurowym szlaczkiem i frendzlą z pasowej sznelki. Rycina 23 przedstawia chustkę krzyżówkę z szafirowego jedwabiu, przerabianą różnobarwną przędzą. Rycina Nr 26 przedstawia niebieską sznelową chustkę, 43 c. szeroką, a 175 cent. długą, w puszysty rzucik ze sznelki koloru starego złota; frendzla z pukielków sznelowych, niebieskich i żółtych, zdobi szalik w około.



Nr 11. Pas do kawy na łóżko robotą szydełkową. (Do r. +

aksamitną wstążką. Stanik zdobi szeroki wyłożony kołnierz z koronki i trzy rzędy galonu, oraz suta kokarda aksamitna, przyszyta z tyłu na karczku. Rękawy bufiaste na ramionach i w łokciu, połączone są z częściami przylegającymi z aksamitnej szerokiej wstążki.

Plaszcz wieczorowy.

Rycina Nr 2

Plaszcz z pluszu pawiego koloru, na atlas

sowej wutowanej podsze-
wce tegoż koloru, przy-
czdobiony złotą pasman-
terą i angorowem bia-
łym futerkiem.

Ubranko z koronki i wstążki.

Rycina Nr 12. Krój pierw. str.
tabl. Nr IV, fig. 30.

Nr 12. Ubranko
z koronki i wstążki.
Krój i opis pierw str.
tabl. Nr IV, fig. 30.

Ubranko z kremowej
koronki 8 cent. szerokiej
i wąskiej wstążeczki bordeaux, przera-
bianej złotem. Na ubranko ukroić z pe-
tynety podstawkę podług fig. 30, otoczyć
takową drucikiem, objąć wstążeczką, wre-
szcie ułożoną w kontrafałdy koronką na
podstawce przymocować tak, ażeby wy-
stawała do koła na 3 cent. Pomiędzy fał-
dami koronki, należy podług ryciny umie-



Nr 15. Stroik na głowę z wst. żki,
koronki i kwiatów.



Nr 14. Stanik do sukni rautowej ryc. 1. Prząd.

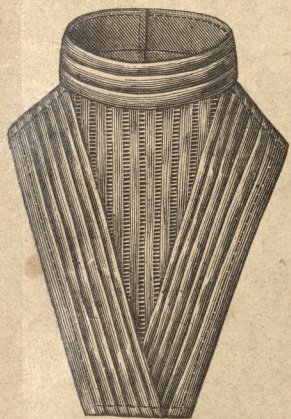


Nr 13 Czepe-
czek dla star-
szych pań Krój
i opis odwr. str.
tabl. Nr XII,
fig. 65

Ukroiwszy podkład szmi-
zetki z grubego muszlinu,
należy środkową część tej
formy, pomiędzy dwoma li-
niami przybrać gazą jedwa-
bną przezroczystą koloru
kukurydzowego, tymże ma-
teryałem uplisowanym przy-
brać boki szmizetki, poczem
należy połączyć ją z ko-
szulką batystową, ukrojoną
podług fig. 64, wreszcie z kołnierzykiem
4 i pół cent. wysokim z tyłu na małe guziczki i jedwabne pętelki zapinany.



Nr 16. Ubranko z wstążki, koronki i kwiat



Nr 17. Szmizetka jedwa-
bna Krój i opis odwr. str.
tab. Nr XI, fig. 63 i 64.

ścić po dwa pukielki
4 cent. długie z wstą-
żki, poczem na pra-
wym boku sutą roze-
tę z tejże wstążki. Na
to ubranko potrzeba
2 i ćwierć metra ko-
ronki, oraz 7 i pół
metra wstążki.

Czepeczek dla star- szych pań.

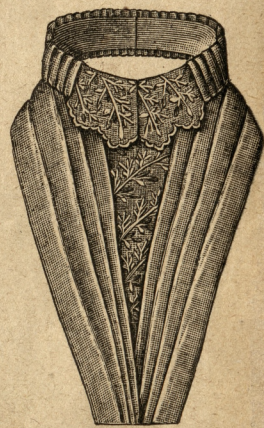
Rycina Nr 13. Krój odwr.
str. tabl. Nr XII, fig. 65.

Ukroiwszy podług
fig. 65 jedną część zło-
żoną wzdłuż środka,
z czarnej petynety,
złożyć fałdkę podług
znaków, podszyć for-
mę muszlinem, obcią-
gnąć czarnym aksami-
tem i obszyć brzegi
dżetowemi paciorka-
mi, oraz podwójnym
sznurkiem złotym. Na
tej podstawce należy
upiąć podług ryciny
kawałek tiulu koron-
kowego, 15 cent. sze-
roki 56 cent. długi, ku
końcom ściety, obszy-
ty wzdłuż brzegów
bombelkami ze złotych
paciorek; gałązka bra-



Nr 19. Kostium spacerowy z szewiotu.

Nr 20. Kostium spacerowy z sukna i futerka.



Nr 18. Szmizetka z krepy
i haftowanej koronki.

Szmizetka z krepy i haftowanej koronki

Rycina Nr 18.

Szmizetka z niebie-
skiej haftowanej ko-
ronki krepowej i kre-
py niebieskiej, ułożo-
nej w plisy podług ry-
ciny. Na podstawę
ukroić formę podług
fig. 63, poszerzając ją
o 10 cent., przycem
wykroić szczyt należy za-
okrąglić. Kołnierzyk
40 cent. długi, a 4 c.
wysoki, cały w ukośne
zakładki, podszyty
atłasem niebieskim.

Suknia spacerowa z szewiotu.

Rycina Nr 19.

Suknia z popielate-
go szewiotu, z kołnie-
rzem i mankietami
z ciemnego aksamitu.
Prząd tuniki wycięty
podług ryciny przyoz-
dobiony jest guzikami.
Pod wyciętą klapą jest
kiesz. Zastosowa-
ny do koloru sukni ka-
pelusz filcowy, zdobia

wysokie pukle z popielatej repsowej wstążki podług ryciny.

Suknia spacerowa z futerkiem.

Rycina Nr 20.

Spódnica materyalna, obszyta u dołu na 15 cent. brązowym sukniem, oraz z lewego boku na 30 cent. szenszylowym futerkiem; fałdzista tiunika na lewym boku, podpięta podług ryciny, przyozdobiona jest naszyciem z jedwabnego sutaszu. Przylegający zakieciak sukieny, otwiera się na kamizelce szenszylowej z marszczeniem z su-
rah brązowego. Kapotkę filcową z odwinięciem rondem objętym szenszylami, zdobi na samym przodzie sterząca kordarda z atłowej repsowej wstążki, oraz węzeł z futerka, podług wskazania ryciny.



Nr 22. Suknia z angielskiego materyału. Pleey. (Do ryc. 26).



Nr 21. Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 47 i 53.

zagotowanym na lekką konserwę, czyli lukrem przezroczystym (patrz „Jedynie praktyczne przepisy“, edycja 11). Gdy wystygna, poprzecinać ostrym nożem, na oznaczone poprzednio kawałki.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z francuskimi kluskami.
2. Rozbeuf z kartoflami.
3. Marchewka z grzankami.
4. Pularda z kompotem z wiśniew w occie.
5. Legomina krakowska.

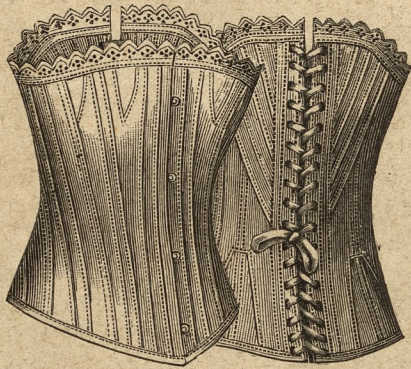


Nr 23. Szlafroczek fanelowy. Pleey. (Do ryc. 27).

Tablica krojów dołączona do zeszłego numeru, objaśnia również wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze Bluszczu podane.



Nr 26. Suknia z angielskiego materyału. Przód. (Do ryc. 22). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 33-46.



Nr 24 i 25. Gorset dla panienci od 12 do 14 lat. Przód i Pleey. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 54-60.

Przepisy gospodarskie.

Pierniki karlsbadzkie.

(Na żądanie).

Dwa funty dobrego czystego miodu pół funta cukru i kwaterkę wody gotować długo, żeby się woda wygotowała; gotować od zagotowania pół godziny najmniej, wtedy gdy trochę przestygnie, wylać na dużą donicę i wsypać tyle pszennej średniej mąki, ile miód w siebie przyjmie, aby ciasto nie było twarde i wbić pięć całych jaj; następnie gdy przestygnie ciasto, wlać mały kieliszek spirytusu i pełną łyżkę potażu używanego do ciasta. Potaż należy trzymać w ciepłym miejscu, aby nie zwilgotniał. Gdy ciasto doskonale wyrobione, można dla zapachu wsypać troszkę skórki pomarańczowej lub cytrynowej, lub wreszcie troszkę kwiatu cynamonowego; innych korzeni się nie sypie do tych pierników, bo są za delikatne. Postawić ciasto w ciepłym miejscu, a gdy widać że podrosta, rozciągnąć cienko na blachy — ponadrzynać nożem na kawałki głęboko, gdyż inaczej się zrośnie i wstawić na 20 minut do dobrze gorącego pieca. Gdy się zrumienią, są gotowe — wyjąć i zaraz póki gorące posmarować piórkiem cukrem,



Nr 27. Szlafroczek fanelowy. Przód. (Do ryc. 23). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14-23.